POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień — ***Dnia 9-go września 1944r.*** — **Rok VI. Nr. 36**

WOLNOŚĆ JEST JEDNA

Wbrew przewidywaniom pesymistów — Warszawa walczy nadal, chociaż z każdym dniem jej położenie staje się co raz gorsze. Nie jest tajemnicą, że braku środków walki nie zastąpi największe nawet męstwo. Jeśli wkrótce nie nadejdzie z zewnątrz skuteczna pomoc, bohaterska epopea Warszawy, epopea walki do kresu możliwości, jedna z najpiękniejszych w dziejach — zakończy się tragicznie . . .

Nikt tego nie rozumie lepiej od obrońcy Warszawy generała Bora. A jednak w takiej właśnie chwili w przemówieniu radiowym w piątą rocznicę wojny nie zawahał się on rzucić hasła: "Przez bój — do zwycięstwa". Iluż spośród nas nie śmie już tego słowa wymówić! Iluż spośród nas przegrywa każdą walkę, nim się ona zaczyna! Iluż z nas już zwątpiło! Gen. Bór nie zwątpił. Jemu tragedia Warszawy, jakżeż dla każdego bolesna, nie przesłania całej sprawy polskiej. Na płonących gruzach stolicy, w przewidywaniu, że bój warszawski skończyć się może klęską — wierzy w ostateczne nasze zwycięstwo. Z tym romantycznym gestem, jedynym w naszych warunkach — przejdzie do historii i do najwierniejszej przyjaciółki bohaterów: legendy.

Tym, co słowom generała Bora odbiera posmak frazesu — jest wola całego społeczeństwa polskiego w Kraju. Wola dowódców przewódców, wola szarego człowieka. To on właśnie stał się największym bohaterem w wojnie, w której walczą ze sobą już nie armie, lecz całe społeczności. Szary człowiek w Polsce, dla którego Ojczyzna jakżeż często nie była zbyt troskliwą matką, wykazał nie tylko hart, ale i niezwykły patriotyzm. On, którego jedynym imieniem była, zdawać by się mogło, liczba — dowiódł, że jest jakością. Jednostki, nawet najdzielniejsze, nie porwałyby za sobą nikogo, gdyby działalność ich nie trafiła na podatny grunt. Bez udziału najszerszych mas naszego społeczeństwa ani walka konspiracyjna, ani bój otwarty nie osiągnąłby żadnego wyniku.

Wobec tego szarego człowieka w Polsce zaciągnęliśmy konkretne zobowiązania. Muszą być one wypełnione. Reformy społeczne, nakreślone przez Radę Jedności Narodowej w uchwale z 15.III. b.r. oraz w odezwach z 26.VII. i 15.VIII. b.r. nie mogą być traktowane jako temat do przyszłej dyskusji,lub przedmiot spekulacji politycznych, ale są realnym planem działania, od którego nie wolno odstąpić. Przeszedł już czas zastanawiania się nad tym, jakie reformy społeczne należało by w Polsce przeprowadzić. Nadchodzi czas ich wprowadzenia w życie. Kto by sądził, że jest inaczej, dopuściłby się haniebnego oszustwa względem mas, ofiarnie przelewających swą krew za Ojczyznę. Wobec przyszłości Polski — nie mogłoby być większej zbrodni. Z zaufaniem mas nie wolno igrać.

Reformy społeczne i niepodległość, czyli Polska Niepodległa i Polska Sprawiedliwa — oto najważniejsze sprawy dla każdego Polaka. Jedna z nich warunkuje drugą. Bez niepodległości — nie ma właściwych reform społecznych; bez reform społecznych — nie ma trwałej niepodległości. Trzeba, aby tu, na emigracji wszyscy to sobie jasno uświadomili.

Sprawa niepodległości Rzeczypospolitej nie schodzi obecnie z ust europejskich mężów stanu. Wydawać by się mogło, że nie ma popularniejszego i powszechniejszego hasła. W obozie Sprzymierzonych zasady tej nikt nie poddaje w wątpliwość, co więcej, każdy gotów jest jej patronować. Nieszczęściem Europy jednak są hasła bez rzeczywistego pokrycia i nigdy chyba nie było większego nadużycia słów świętych cywilizacji europejskiej. Swoista mistyka siły, tak charakterystyczna dla wszystkich epok upadku kultury, zamąciła jasne na pozór umysły. Na tym tylko tle można zrozumieć choćby n.p. ostatnie wystąpienia jednego z publicystów londyńskiego *"Times'a"*.

Nie zajmowałem się dotychczas polemiką, tego jednak, co napisał *"Times"* w artykule wstępnym z dnia 31.VIII. b.r. niepodobna pominąć milczeniem, zwłaszcza, jeśli się zważy powagę, której zażywa ten najstarszy dziennik angielski. Oto wśród życzliwych pozornie rozważań o Armii Krajowej — *"Times"* nazwał audycje warszawskiej radiostacji "Błyskawica", poświęcone Wilnu i Lwowu niezgodnymi z przyjaznym stanowiskiem wobec Rosji", a nieco dalej — wręcz "niewczesną prowokacją".

Osobiście nie zamierzam bronić twierdzenia, że te właśnie audycje "Błyskawicy" są — z punktu widzenia taktyki politycznej — posunięciem najszczęśliwszym. Chwila obecna, moim zdaniem, nie sprzyja poruszaniu zagadnień terytorialnych. Jest to zasada, która powinna obowiązywać wszystkich, a więc nie tylko Polskę, ale i Rosję i . . . prasę brytyjską. Niestety, ani Rosja, ani prasa brytyjska nie zachowują w tej sprawie dyskrecji i "umiaru". Czy zatem obowiązują dwie zasady: jedna dla Polski, druga dla innych? Albo jeszcze jaśniej: jedna dla słabych, druga dla silnych?

Wypowiedź *"Times'a"* jest tym dziwniejsza, że pismu temu znane są fakty, poruszone już szeroko w prasie brytyjskiej, które wywołały zakwestionowane audycje. Musimy je pokrótce przypomnieć. Oto do Warszawy doszły, ścisłe niestety, wiadomości, że Rosjanie, nie czekając na międzynarodowe rozstrzygnięcie, traktują bezceremonialnie Ziemie Wschodnie Rzeczypospolitej, jako część sowieckiego terytorium państwowego. Co więcej, na Ziemiach tych dopuszczają się względem ludności polskiej gwałtów, stosując masowe deportacje starym szlakiem na Kaługę, na Kijów . . . Czy w tych warunkach można się zbytnio dziwić Warszawie, że przerwała ową tragiczną ciszę, otaczającą postępowanie administracji rosyjskiej? Czy to niezręczne może politycznie, lecz ludzkie i godne wystąpienie człowiek uczciwy może nazwać prowokacją? Czy raczej na miano prowokacji, prowokacji uczuć każdego Polaka, nie zasługuje wystąpienie publicysty *"Times'a"*?

Ten sam *"Times"* inaczej zgoła przemawiał w r. 1940, gdy nad Wielką Brytanią wisiała groza przemocy i klęski, gdy każdy karabin Polaka, jedynego w tej ciężkiej godzinie sprzymierzeńca, ważył więcej, niż złoto, gdy pod obcym, krwawym od łun niebem Londynu wiały skrzydła polskich samolotów, których brak teraz Warszawie. Innymi zapewne słowy przemawiałby publicysta *"Times"a*, gdyby chodziło nie o Lwów czy Wilno, ale o Oxford lub Cambridge, gdyby potężny sąsiad uważał za swoje nie nasze Ziemie Wschodnie, lecz Północną Irlandię i Szkocję i gdyby tragiczną drogą na Wschód, znaną licznym pokoleniom polskim od stu pięćdziesięciu lat, ciągnęła nie polska, lecz angielska ludność.

Piszę to nie po to, aby na impertynencje odpowiedzieć niedelikatnością, ani by utrzymywać, że w przytoczonych przeze mnie zestawieniach podobieństwo jest całkowite. W takiej jednak chwili, gdy tam za wolność giną tysiące ludzi — niechżeż przynajmniej tu inni "ludzie, istoty nieznane" nie opluwają ich cynicznie śliną płaskich zarzutów. Dla ścisłości dodać trzeba, że po odprawie, udzielonej przez *"Daily Telegraph"* — *"Times"* nie po raz pierwszy i . . . ostatni zmienił swój ton.

"Warszawa walczy o wolność i niepodległość" — stwierdził w przemówieniu radiowym z dnia 1.IX. r.b. przebywający w stolicy Wicepremier Rządu Rzeczypospolitej. Walczy przeciwko Niemcom, aczkolwiek, powiedzmy to sobie otwarcie, niepodległość Polski zagrożona jest w tej chwili także i przez Rosję. I ta właśnie sprawa, a nie spór terytorialny jest sednem zagadnienia polsko-rosyjskiego w Europie. Wiadomości, napływające co raz liczniej z Ziem Rzeczypospolitej, zajętych przez Armię Czerwoną i to nawet położonych na zachód od linii Curzona, a więc przez samą Rosję uważanych za obszary bezspornie polskie — stawiają społeczeństwo polskie wobec całej ostrości pytania, czy pochód wojsk rosyjskich nie oznacza dla Polski po prostu zmiany okupanta niemieckiego na sowieckiego. Symbolem powstającej sytuacji jest niejako "zmiana warty" w osławionym obozie koncentracyjnym w Majdanku pod Lublinem. Tak, jak za okupacji niemieckiej przebywają tam /bądź przebywali do niedawna przed wywiezieniem na Wschód/ najlepsi synowie Rzeczypospolitej.

Nie chcę przez to bynajmniej powiedzieć, że położenie jest pod każdym względem jednakowe. Wszak z Niemcami walczyliśmy, walczymy i walczyć będziemy do końca, natomiast Armii Czerwonej oddawaliśmy i nadal oddajemy znaczne usługi, dążąc do porozumienia z Rosją. Myliłby się jednak ten, ktoby sądził, że za to porozumienie i za zaniechanie gwałtów gotowi jesteśmy zapłacić niepodległością.

Naród polski nie żywił i nie żywi wrogości względem narodu rosyjskiego. Nawet ci spośród nas, których Rosja uważa za swych wrogów, a którzy są tylko dobrymi Polakami, zatroskanymi o swą Ojczyznę — przyjęliby zawarcie sprawiedliwego porozumienia z ZSRR nie tylko z ulgą, ale i ze szczerą wolą dotrzymania wszelkich jego warunków. Jeśli Rosja w szczerości i trwałości tej postawy widzi swój istotny interes polityczny — gotowi jesteśmy przyznać jej rację. Gotowi jesteśmy nawet przyznać, że po tylu wzajemnych podejrzeniach i zadrażnieniach, nagromadzonych przez wieki — same słowa mogą nie wystarczyć.

Z naszej jednak strony były i czyny. Akcja "Burzy" prowadzona przez nas przeciwko Niemcom w operacyjnej współpracy z Armią Czerwoną, gdzie się tylko udało ją nawiązać — jest nie słowem lecz czynem. Lojalne ustosunkowanie się do wkraczających wojsk rosyjskich przez ludność polską jest również czynem. Przyjęcie przez Radę Jedności Narodowej bez godziny zwłoki nadesłanego przez Premiera Mikołajczyka projektu ułożenia stosunków polsko-rosyjskich, projektu, o którym nikt nie może powiedzieć, by nie był jak najbardziej kompromisowy — jest także czynem, dowodzącym naszej dobrej woli.

Ale i my również nie możemy zadowolić się samymi tylko rosyjskimi słowami o "Polsce niepodległej i silnej". Tak, jak było by rzeczą niewłaściwą ustalać nasz stosunek do Rosji na podstawie samych tylko doświadczeń przeszłości, tak samo było by rzeczą nierozsądną opierać go na intuicji, czy wierze. Rosyjscy mężowie stanu, wielcy realiści, rozumieją chyba, że olbrzymia potęga ZSRR może mieć dla nas dwojakie oblicze: wielkiego sprzymierzeńca, lub śmiertelnej groźby. Aby przywrócić zaufanie — rosyjskie czyny musiałyby odpowiadać rosyjskim słowom. Niestety, czyny te przeczą słowom. Do znanych faktów dawnych i nowych wystarczy dodać dla ilustracji brak zgody na udzielenie baz rosyjskich samolotom alianckim, niosącym pomoc Warszawie. Czy jest to czyn przyjazny?

Nie na takie czyny czekamy. I nie chciałbym być zmuszonym dodać: na próżno . . .

Gdybym miał możność zwrócenia się wprost do ludu rosyjskiego, przemówiłbym tymi słowy:

Ludu Rosyjski, nie nazywaj nas narodem panów; jesteśmy, tak, jak i Ty narodem mas pracujących. Nie wierz, że staliśmy się "faszystami"; kto tak kocha wolność, jak my, nie może być faszystą. Nie widź w nas swoich wrogów; gdybyś zechciał, mógłbyś w nas mieć prawdziwych przyjaciół. Nie przypuszczaj, że poto walczymy przeciwko Niemcom, wydając nasze miasta i wsie na zniszczenie, a ludność na śmierć i poniewierkę, aby pokrzyżować plany wojskowe Armii Czerwonej; bijąc Twoich i naszych wrogów oddajemy usługi wspólnej sprawie.

Walczymy o to, by chłop nasz mógł spokojnie gospodarować na własnym zagonie. Walczymy o to, by robotnik nasz był wolnym, dobrze zarabiającym pracownikiem. Walczymy o to, by pozostać narodem polskim i państwem polskim. Czyż to godzi w Twoje prawa?

Czy w chwili, która na całe wieki mogłaby zmienić bieg stosunków polsko-rosyjskich, chcesz kroczyć dalej szlakiem Mikołaja I Pałkina, szlakiem Murawiewa-Wieszatela?

Pamiętaj: walczymy o wolność i niepodległość: walki tej nie zaprzestaniemy, póki życia. Pamiętaj: nie ma dwu wolności na świecie, sprawa wolności jest jedna i niepodzielna. Pamiętaj: dla tej to sprawy Warszawa, którą kochamy niemniej, niż ty swą Moskwę, przemieniła się w krwawe rumowisko; dla tej to sprawy oddaje życie warszawski inteligent i warszawski proletariusz.

ANDRZEJ POMIAN

Defilada oddziału Armii Krajowej



Przegląd tygodniowy

PIĘĆ TYGODNI

Po pięciu tygodniach Warszawa walczy dalej na własnych gruzach i zgliszczach. Walczy z bohaterstwem nie spotykanym w historii. Według *"Deutsches Nachrichten Bureau"* bombowce, działa szturmowe, pociągi pancerne, artyleria i moździerze druzgocą polskie punkty oporu, a grenadierzy wypalają je miotaczami płomieni. Stare Miasto uległo zupełnemu zniszczeniu. Ale w innych częściach miasta walka trwa.

Jedyna pomoc, jaką ostatni tydzień przyniósł, była czysto moralna. Było to oświadczenie Rządów W. Brytanii i U.S.A. uznające prawa kombatanckie Armii Krajowej. Adresowane do Niemców, stwierdza ono jednak zasadę, która tym bardziej musi być szanowana przez sojusznika obu mocarstw, skoro uszanowania jej żąda się od wroga. Spełniony został przez wydanie tej deklaracji ważny postulat Polski walczącej.

Natomiast pomoc materialna, co raz bardziej nieodzowna, dotąd nie nadeszła. I to nie z braku dobrej woli Brytyjczyków i Amerykanów. Istotny powód wyjawiła prasa brytyjska; mówił o tym również nasz premier na konferencji prasowej. Brak zgody sowieckiej na lądowanie samolotów mających wykonać operację na Warszawę po tamtej stronie frontu uniemożliwia pomoc w większym stylu, jedynie skuteczną.

Wrażenie, jakie wiadomość ta wywarła na opinię brytyjską, było niezwykle silne. Nie rozumiano dotąd, dlaczego pomoc musi być dawana z ogromnym ryzykiem z dalekich baz brytyjskich czy włoskich, nie zaś z bliskich sowieckich. Teraz zapanowało zdumienie. "Rosja — pisze *"Spectator"* — nie powinna lekceważyć głębi uczuć, jakie te wydarzenia tutaj wzbudzają".

Naród brytyjski chce, by ratowano Warszawę, woli swojej daje co raz głośniejszy wyraz. Przemówili dostojnicy kościelni katoliccy, później anglikańscy i prezbiteriańscy. Przemówiły Związki Robotnicze. Prasa pisze co raz otwarciej i mocniej. Zacytujemy *"Observera"*: "Nie ma kwestii, że trochę, tylko trochę samolotów rosyjskich nad druzgotaną Warszawą mogłoby dokonać nieporównanie więcej dla przyjaźni polsko-sowieckiej, aniżeli cały szereg sowieckich oświadczeń o silnej i niepodległej Polsce". Wspominając zaś znane oskarżenia i pogróżki w stosunku do tych, którzy walkę w Warszawie prowadzą, oraz areszty i deportacje, *"Observer"* wyraża obawę, że Rosja, żądając "przyjaznej" Polski, doprowadzić może do zwiększonej wrogości i dalszych tragicznych powikłań.

Premier polski apelował znowu mocno i publicznie do tych potężnych ludzi, od których pomoc dla Warszawy zależy: Stalina, Churchilla, Roosevelta. Oby wezwanie to było spełnione, zanim nie będzie za późno.

SKRZYDLATE ZWYCIĘSTWO

Tragedia Warszawy przesłania nam, Polakom, wydarzenia na Zachodzie Europy, mające doniosłość światową i jedyne w dziejach. Zwycięstwo nie postępuje tam, ale leci na skrzydłach, nie tylko samolotów: wydaje się, że "Shermanom" i "Cromwellom" skrzydła wyrosły. Jest ono jakby wspaniała Nike Samotracka z Luwru /ocalona zapewne/. Tylko tamtej brakuje głowy, a tu jest głowa. Nie byle jakich trzeba głów, by ta powódź czołgów i samochodów szła nieprzerwanie naprzód, obalając lub wymijając i wyprzedzając wszelkie opory, w jednym tygodniu pochłaniając przestrzeń od Sekwany aż po granice Rzeszy, Holandii, w głąb Belgii.

Na prawym skrzydle działa amerykańska grupa armii Bradleya. Armia 3. Pattona już zajęła Verdun, bije się pod Thionville i Longwy na dawnej linii Maginota, z kierunkiem na Metz i Trewir. Armia 1-sza amerykańska gen. Hodgea od Sedanu wtargnęła przez Ardenny na tyły Niemców, jeszcze wtedy trzymających Belgię, posuwa się na Akwizgran /Aachen/ zdobywając Liège i Namur. Przekroczyła już granicę Holandii.

Lewym skrzydłem posunęła się przez Maubeuge i Valenciennes w głąb Belgii na Mons i Charleroi. Z grupy armii Montgomery'ego 2-ga armia brytyjska Dempseya przedarła się błyskawicznie bronią pancerną przez Amiens i Arras na Lens, Lille, Armentières, Tournai, oswobodziła Brukselę, Antwerpię, Gandawę. Armia kanadyjska gen. Crerara działa bliżej morza na bezpośrednie tyły Niemców, trzymających się jeszcze nad Kanałem i cieśniną Pas de Calais. W pobliżu Dunkierki Niemcy są dziś przywarci do morza i bez szans ewakuacji. Pod Abbeville silniejszy opór zlikwidowała polska dywizja pancerna.

Jest to "Blitz" bijący rekordy niemieckie z 1940 roku o sto procent; amerykańskie i brytyjskie dywizje pancerne przelatują ponad 60 km na dobę. Nie likwidują oczywiście całości sił przeciwnika. Idzie o to, by go wyprzedzić nad Renem. Likwidacja Niemców wyminiętych i odciętych jest rzeczą Francuskiej Armii Krajowej /F.F.I./, a gdzie ta nie podoła, nadciągającej zmotoryzowanej czy przewożonej piechoty.

Dużo Niemców zostało daleko w tyle, nawet spore grupy, niekiedy walczące do upadłego. Los ich jest przesądzony, podobnie jak garnizonów Havre, Brest i Lorient, dotąd jeszcze stawiających opór.

Od południa 7 armia amerykańsko-francuska gen. Patch zdobyła Lyon, przełamując silny opór Niemców, bijących się do upadłego, by osłonić ewakuację resztek ich wojsk z południowej i południowo-zachodniej Francji na Dijon i Belfort za Ren.

Na komunikację tych sił niemieckich na "lukę Belforcką" spadły z powietrza sprzymierzone siły spadochronowe.

Co się stało z główną siłą niemiecką? 7-mą armią i 5-tą pancerną bijącymi się w Normandii i z doborowymi dywizjami armii 1-szej i 15-tej, ściągniętymi tam do bitwy? Symbolicznym niejako jest los trzech kolejnych dowódców 7-ej armii: pierwszy zabity w walce o przyczółek normandzki, drugi ranny przy przedzieraniu się z kotła Falaise, może od polskiej broni, trzeci złapany pod Amiens przez brytyjskich czołgistów przy rannym śniadaniu, absolutnie nieświadomy położenia przeciwnika ani położenia sił własnych. Tak było i z samą armią: gros legło w bitwie normandzkiej, część przedarła się zdziesiątkowana z dwukrotnego osaczenia już niezdolna do nowej bitwy; co zdołało się ocalić, uchodzi na oślep, bez jednolitego kierownictwa, odcięte zaś umiera w beznadziejnej walce lub częściej i co raz częściej idzie w niewolę.

Od początku inwazji front zachodni *"Festung Europa"* trzy razy zmienił naczelnych wodzów. Pierwszy, Rundstedt, wyrzucony. Drugi, Rommel, pono umarł z ran. Trzeci, von Kluge, wyrzucony i podobno nie żyje. Tragiczna Nike niemiecką ma głowę odtrąconą.

"LINIA GOTÓW" PRZEŁAMANA

W ciągu miesiąca operacje we Włoszech miały charakter walk lokalnych; armie sprzymierzone wywalczały sobie podstawy do natarcia na t.zw. "linię Gotów", od Pizy do Pesaro, ostatnią naturalną linię obrony przed rozległą niziną Padu. Apeniny, głównym grzbietem ciągnące się tu wpoprzek półwyspu, dawały warunki do uporczywej obrony. Słaby był jej odcinek na skrajnym lewym, wschodnim skrzydle: szeroki, dość dostępny korytarz między Adriatykiem a górami.

Tutaj Polacy i Włosi sforsowali rzekę Metauro, a w dalszym natarciu czołgi polskie wdarły się do Pesaro, bastionu wschodniego "linii Gotów". Raptownie przyszło ogólne uderzenie na tę linię. Sławna 8-ma armia brytyjska w zupełnej tajemnicy przegrupowana do natarcia na odcinku, gdzie dotąd byli tylko Polacy i Włosi, zaskoczyła Niemców nawałą ognia i przełamującym natarciem, wdzierając się na szerokim, przeszło 30-kilometrowym froncie na głębokość do 10 kilometrów w ich pozycje. Nasi z Korpusu II po ciężkiej walce o Pesaro wzięli udział w przełamaniu linii niemieckich i prą naprzód wraz ze sprzymierzonymi.

Bitwa jeszcze nieskończona. Wydaje się jednak, że rozstrzygnie ona o losach Włoch północnych i armii niemieckich we Włoszech. Na komunikacjach tych armii mogą się niebawem pojawić zarówno czołgi Patcha z południowej Francji, dzisiaj już niepokojące Riwierę genueńską, jak czołgi sowieckie z nad dolnego Dunaju. Niemcy nie mają zbyt wiele czasu do odskoku na pozycje broniące bezpośrednio wrót południowych Trzeciej Rzeszy. Zachodzi pytanie, czy gen. Alexander na odskok im pozwoli.

WYDARZENIA NA WSCHODZIE

Niemcy zemścili się na Rumunach za ich odstępstwo srogim zbombardowaniem Bukaresztu, co nie ocaliło ich 6-tej i 8-mej armii, zlikwidowanych już prawie doszczętnie. Rumunia niemal w całości jest już w ręku sowieckim. Wspaniałomyślne — jak głoszono — warunki rozejmu okazały się ciężkie. Poza utratą Besarabii i północnej Bukowiny przewidziane są wielkie odszkodowania i co cięższe jeszcze, użycie armii rumuńskiej do odbudowy zniszczonych obszarów Rosji, zatem jej wieloletnia niewola. Jest to może przedsmakiem tego, co oczekuje Niemcy.

Bułgaria rokuje o zawieszenie broni ze Sprzymierzonymi. Jej propozycji ścisłej neutralności nie przyjęto. Musi oddać swe siły, zasoby i bazy do rozporządzenia Aliantów i naprawić krzywdy, wyrządzone Grecji i Jugosławii. W Sofii dokonywa się zmiana rządu na wyraźnie prosowiecki. Okaże się, czy to ułatwi sytuację.

Finlandia rokuje o pokój z Rosją. Już zawarto zawieszenie broni na honorowych,, zdaje się warunkach. Osoba fińskiego naczelnego wodza, marsz. Mannerheima, nie była przeszkodą, choć nie tak dawno jego działa ostrzeliwały Leningrad.

Na froncie wschodnim poza Rumunią nie było zmian. Niemcy chwalą się jego stabilizacją. Dni najbliższe okażą, czy na długo.

Do zanotowania mamy zwiększenie nasilenia walk w przedpolu Warszawy. Po historycznym Ossowie pamiętny Radzymin znowu zmieniał posiadaczy; został w rękach sowieckich. Zacięta bitwa toczy się pod Wyszkowem.

POLSKA PODZIEMNA WE FRANCJI

Z oswobodzeniem Francji wychodzi z podziemi na światło dnia ta część Polski walczącej, którą stanowi zorganizowane wychodźstwo polskie we Francji. Pod okupacją niemiecką przetrwało ono niezłomnie wierne ojczyźnie, działało, walczyło, ponosiło ciężkie ofiary.

Jest jeszcze zawcześnie wymieniać usługi, które tam we Francji konspiracja polska oddała wspólnej sprawie sprzymierzonych. Były poważne i okupione ofiarami. W wielu miejscach Polacy walczyli ramię w ramię z francuską Armią Krajową. W Paryżu, obszarze Lille i w Sabaudii oddziały nasze były w akcji. Rola ich przewidywana od dawna została zredukowana przez błyskawiczny postęp sprzymierzonych, główne zadanie przekreślone przez wypadki. Ale nasi górnicy i robotnicy dowiedli, że umieją z najwyższym poświęceniem służyć Ojczyźnie.

Już tysiące ochotników staje w różnych stronach Francji do bratnich szeregów. Otwiera się druga karta dziejów polskiego wysiłku wojennego na ziemi francuskiej, rozjaśniona zwycięstwem.

Zamknięte 5 września.

TRIARIUS

Nowości lotnicze

Mimo olbrzymich zmian, jakie zarysowały się w ciągu ostatnich tygodni na wszystkich frontach, *Luftwaffe* nie wykazuje w dalszym ciągu żadnej ruchliwości. Gdybyśmy wzięli do ręki tabele rzeczywistych stanów liczbowych lotnictwa niemieckiego, to cyfry byłyby stosunkowo duże. Co więcej — zauważylibyśmy pewne polepszenie w sprzęcie, materiale i ilości załóg, szczególnie w niemieckim lotnictwie nocnym. Jednak to bynajmniej nie zmienia położenia *Luftwaffe*.

Luftwaffe przestała odgrywać rolę jako czynnik rozstrzygający na polu bitwy na ziemi, przestała grać rolę jako czynnik poważny w powietrzu. Bowiem nie wysokość stanów decyduje o wadze lotnictwa w zespole innych elementów sił zbrojnych, lecz możliwości wykonania zadań, jakie mu przypadają. Gdyby jakiś litościwy anioł podwoił Hitlerowi stany samolotów i załóg, nie wiele by się to przyczyniło do podwojenia wydajności pracy jego lotnictwa. I tak nie wystarczyło by to na obsłużenie pięciu olbrzymich frontów.

Jeżeli kiedy, to teraz można zacytować powiedzenie Chamberlaina, że Hitler spóźnił się na autobus. Rozbudowa niemieckiego lotnictwa nocnego przyszła z chwilą, kiedy nocne ataki na Rzeszę nie grają już tak poważnej roli, jaką odgrywały jeszcze parę miesięcy temu. Nowe typy samolotów myśliwskich o rekordowych własnościach bojowych weszły wprawdzie do akcji /mamy na myśli "Me. 163" i "Me. 262"/, lecz w ograniczonej liczbie. Przypuszczać należy, że jeszcze potrwa parę dobrych miesięcy, zanim *Luftwaffe* będzie ich miała dostateczną ilość, by zastąpić nimi myśliwskie lotnictwo dzienne. Wreszcie produkcja ciężkich bombowców, które miały bombardować Londyn i Wielką Brytanię /"He. 177", czteromotorowych olbrzymów/, nim ruszyła — już jest nieaktualna.

Rozpatrując sytuację *Luftwaffe*, musimy podkreślić, że z chwilą gdy pierścień wojsk alianckich zacieśni się dokoła Niemiec, wydajność jej może być większa. Fronty się skrócą, nasycenie lotnictwem będzie większe, mimo utraty poważnej pomocy lotnictw satelitowych: rumuńskiego, bułgarskiego i — co wydaje się nieuniknione — węgierskiego.

Jednak inne jeszcze chmury wiszą nad nieszczęsną *Luftwaffe*. Ostra ofensywa lotnictw sprzymierzonych, prowadzona od czterech miesięcy, a skierowana przeciw przemysłowi przetwórczemu paliwa jak i zapasom paliwa dała nadspodziewane rezultaty. Już w początkach sierpnia r.b. bombardowanie to spowodowało zmniejszenie się produkcji do 52% w porównaniu z okresem sprzed tej ofensywy. Oznacza to dla Niemców brak kilkuset tysięcy ton paliwa miesięcznie, gdy poprzednio mieli oni możność oszczędzania około 100.000 ton miesięcznie.

Spadek ten postępuje dalej: odpadają źródła ropy /Rumunia/, odpadają liczne rafinerie i wytwórnie benzyny syntetycznej, rozlokowane w różnych krajach okupowanych lub satelitowych.

Toteż nie wydaje się rzeczą pewną, czy *Luftwaffe* byłaby w stanie zaopatrzyć w benzynę swoje stany nawet na zmniejszonym terenie walk. Brak paliwa dał się odczuć nie tylko na froncie i nie tylko w spożyciu wewnętrznym. Dał się odczuć w tempie wyszkolenia załóg, szczególnie bombowych. Jest to jedna z przyczyn ogólnego kryzysu *Luftwaffe*. Wszystkie doświadczone załogi, a raczej resztki tych załóg, które pozostały jeszcze po walkach rosyjskich i "bitwie o Niemcy", wcielone zostały do lotnictwa myśliwskiego nocnego. Lotnictwo myśliwskie dzienne, bombowe, rozpoznawcze — pozostały bez doświadczonych pilotów.

Wyszkolenie załóg wymaga długiego czasu i tego na prędce zrobić się nie da. Można od biedy wyszkolić na t.zw. *"Schnellsiedekurs"* /na maszynce spirytusowej/ oficera sztabu, lecz nie można wyszkolić pilota, tym bardziej obserwatora. Powiększając liczebnie jednostki i wypełniając je niedoszkolonymi załogami otrzymujemy w wyniku zmniejszoną wydajność. Lotnictwo jest bronią, w której nic nie da się zablagować, jest to zresztą wspólna cecha wszystkich broni technicznych, w których nawet największy zapał i brawura jednostki czy zespołu nie zastąpią doświadczenia i wiedzy.

Wspomnieliśmy, że nadzieje Niemców w dalszym ciągu wiążą się z działalnością nowych broni technicznych, jakimi są *V.1* i *V.2*. Ogół niemiecki przypuszczał, że *V.1* to nareszcie coś, co rzuci Brytyjczyków na kolana, wprowadzi zamęt w życie Wysp Brytyjskich, załamie ducha żołnierza walczącego w Normandii wobec świadomości, że gdy on walczy, cały świat brytyjski tonie w chaosie, zniszczeniu i dezorganizacji. Coprawda Niemcy wierzą w to jeszcze do tej chwili, może nie tak entuzjastycznie jak przedtem — lecz wierzą.

Wierzą dalej, że przyjdzie jeszcze coś straszniejszego, o nieznanej mocy i sile — *V.2* — kara boża na Wielką Brytanię z ręki geniusza wynalazczości niemieckiej. Niewątpliwie nie należy nie doceniać tej broni, która według wszelkiego prawdopodobieństwa, o ile zostanie użyta w pełni, może okazać się bardzo groźna w skutkach, szczególnie dla Anglii. Prasa brytyjska na podstawie źródeł rosyjskich pozwala się domyślać, że będą to pociski rakietowe, wyrzucane z wielkich odległości, o niezwykłej sile wybuchowej i niszczącej. Źródła neutralne, a więc prasa szwajcarska i szwedzka wspomina coś o pociskach, które będą działały chemicznie, wyciągając tlen z otaczającej atmosfery. Wszystko to jest możliwe.

Lecz w tej chwili nie leży w granicach możliwości przyłapanie wszystkich armii sprzymierzonych na wąskim odcinku Wysp Brytyjskich. Taka sposobność była, lecz już minęła. Sytuacja jest odmienna. Dziś, pocisk niemiecki co najwyżej może urządzić rzeź cywilnych, szczególnie kobiet i dzieci w Londynie i innych miastach na wyspie. Może uniemożliwić przedstawienia teatralne i kinowe na terenie południowej Anglii, lecz nie zatrzyma pochodu olbrzymich armii, posuwających się w głąb kontynentu z rozmaitych stron, w kierunku Niemiec.

Wiele osób interesuje się /rozumiem to doskonale/ tym, czy w chwili gdy zostanie zajęte Pas de Calais, ataki bomb latających /*V.1*/ na Londyn ustaną, tak, by Niemcy nie mogli już ogłaszać w swych komunikatach, że "Londyn w dalszym ciągu jest poddany ciężkiemu odwetowemu ogniowi *V.1*". Niestety musimy wyrazić pogląd, że zajęcie Pas de Calais prawdopodobnie nie wpłynie na bombardowanie Londynu. Może je tylko zmniejszyć. Według zdania znawców tej broni, dopiero zajęcie całego wybrzeża belgijskiego i holenderskiego — i to z sięgnięciem w głąb lądu do jakichś 50 mil — może zapobiec całkowicie obecnym możliwościom niemieckim. I to kto wie? Niemcy mają w tej chwili sposoby, które uniezależniają *V.1* od wyrzutni, w każdym razie od wyrzutni stałych.

Jeżeli zaś chodzi o *V.2* to sądząc z niemieckich konkretnych wypowiedzi, nie będą potrzebowali do bombardowania Wielkiej Brytanii bliskich wybrzeży. Wystarczy im trochę terytorium niemieckiego. Szykujmy się tedy na niespodzianki.

M. J. GORDON

Z tygodnia na tydzień

28 sierpnia: Na Starym Mieście w Warszawie nadal ciężkie walki. W innych rejonach inicjatywa w rękach Armii Krajowej.

—Oddziały II. Korpusu zajęły Monte delle Forche i m. Fano nad Morzem Adriatyckim.

—Wojska sowieckie zajęły w Rumunii następujące miejscowości: Braiła, Tulcea, Sulina i Bretcu w Transylwanii oraz w Polsce Ostrów Mazowiecki.

—Sprzymierzeni dotarli do Château Thierry i Sézanne.

—Ogłoszono, że Naczelny Wódz gen. Sosnkowski w czerwcu br. nadał ordery "Virtuti Militari" dowódcy Armii Krajowej gen. Borowi, wicepremierowi w Kraju oraz różnym żołnierzom Armii Krajowej.

29 sierpnia: Rządy brytyjski i Stanów Zjedn. wydały oświadczenie, w którym stwierdzają, że Armia Krajowa jest składową częścią Polskich Sił Zbrojnych.

—Walki w rej. Starego Miasta o niesłabnącym nasileniu. A.K. utraciła gmach Państwowej Wytwórni Papierów Wartościowych, katedrę św. Jana i Plac Zamkowy, opanowała parę ulic na Dolnym Mokotowie.

—Sprzymierzeni zajęli Soissons, Vitry, Châlons nad Marną.

—Wojska sowieckie zajęły Konstancę.

30 sierpnia: W nocy z 29/30 lotnictwo brytyjskie bombardowało silnie Szczecin i Królewiec oraz Berlin i Hamburg.

—Na Starym Mieście niesłabnące walki. A.K. utraciła szereg ulic w śródmieściu. Ataki niemieckie na Mokotów zostały odparte, A.K. opanowała odcinek ulicy Towarowej. Niemcy podpalili Marymont.

—Na płn. wsch. od Pragi wojska sowieckie w dalszym ciągu odpierają ataki niemieckie. Czerwona Armia zajęła Ploesti.

—Sprzymierzeni zajęli Reims i Beauvais.

—Rząd R.P. ogłosił deklarację stwierdzając, że Armia Krajowa stanowi część regularnych Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej.

31 sierpnia: Wojska polskie — jako oddziały wysunięte 8 Armii w natarciu na "Linię Gotów" — zajęły Pesaro we Włoszech.

—Działania patroli A.K. na Żoliborzu. Oddziały A.K. odbiły kościół Panny Marii.

—Wojska sowieckie zajęły Radzymin pod Warszawą. Czerwona Armia zajęła Bukareszt.

—Sprzymierzeni zajęli Amiens, Rouen i Sedan, a na płd. Niceę i Valence. Przekroczono rzeki Sommę i Mozę.

—Odbyła się konferencja prasowa premiera St. Mikołajczyka, na której poruszone zostały aktualne sprawy polskie.

—Gen. Montgomery został naczelnym dowódcą wojsk brytyjskich i kanadyjskich na froncie zachodnim, a gen. Bradley — wojsk amerykańskich. Montgomery mianowany został marszałkiem polnym.

1 września: Nieznaczne straty terenu na Starym Mieście w Warszawie. Walki o kościół św. Anny i ratusz. A.K. naciera na plac Żelaznej Bramy.

—Oddziały polskie i kanadyjskie nacierają na Abbeville. Sprzymierzeni zajęli Dieppe, Arras i Verdun.

—Oddziały polskie i brytyjskie odpierają kontrataki niemieckie na Pesaro.

—Z okazji piątej rocznicy wybuchu wojny zwrócili się do Narodu Polskiego mówiąc —

Prezydent R.P.: "Chcemy pokoju opartego na sile prawa a nie na prawie siły . . ."

Premier Mikołajczyk: "Warszawa ma prawo do pomocy. Warszawa czeka. Czeka cały Naród Polski. Czeka opinia publiczna świata . . ."

Naczelny Wódz: "Warszawa walczy i czeka. Walczą żołnierze Armii Krajowej, walczą robotnicy i inteligenci, walczą dziewczęta i dzieci — walczy Naród cały, który w namiętnym pragnieniu prawdy, wolności i zwycięstwa dokonał cudu całkowitego zjednoczenia. Warszawa czeka. Nie na czcze słowa pochwały, nie na wyrazy uznania, nie na zapewnienia litości i współczucia. Czeka ona na broń i amunicję".

Premier Churchill: "Wojska polskie okrywały się ciągle i okrywają się sławą, walcząc na wszystkich głównych frontach wielkiej ostatecznej bitwy, którą oswobodzi Europę i uczyni możliwym odbudowanie silnej i niepodległej Polski. W Warszawie trwa nadal bohaterska walka, śledzona uważnie przez świat cały . . ."

2 września: "Linia Gotów" została przełamana. Amerykanie zdobyli Pizę.

—Sprzymierzeni zajęli Lille, Douai, Maubeuge, Longwy oraz Tournai w Belgii.

—W Helsinkach ogłoszono, że Finlandia zwróciła się do Niemiec o wycofanie wojsk.

3 września: Stare Miasto padło pod druzgocącą przewagą niemiecką.

—Sprzymierzeni zajęli Lyon oraz przekroczyli Mozellę.

—Wojska sowieckie posuwają się doliną Dunaju, wzdłuż granicy Bułgarii.

—Pesaro ostatecznie oczyszczone z Niemców, po zaciętych walkach żołnierzy polskich z niemiecką I. Dywizją Spadochronową.

Pod znakiem Polski Walczącej



Plakat wielkanocny

Ta kombinacja liter "P" i "W" w kształcie kotwicy, którą widziało się na płotach, murach, chodnikach miast polskich to znak Polski Walczącej. Polski, która nie skapitulowała i nie skapituluje przed nikim.

Patrz — patrol żandarmerii niemieckiej zatrzymuje się ze wściekłością przed murem, poszczerbionym świeżo przez kule jednej z egzekucyj publicznych, na którym teraz widnieje wielki znak Polski Walczącej. Nie warto go właściwie ścierać. Daremny trud. Niebawem przecież na tym samym miejscu ukaże się na nowo.

Historia tego znaku jest następująca. W mieście nad wielką rzeką, mieście popielisk i niewygasłej walki, w mieście, którego mimo brzydoty gruzów nie podobna teraz nie kochać — w Warszawie — żyła w początkach okupacji niemieckiej pewna smukła dziewczyna, mająca wyjątkowo piękne ręce. Ręce młodej malarki. Któżby pomyślał, że i ręce łączniczki, kolporterki tajnej prasy.

Te właśnie ręce przeszło cztery lata temu nakreśliły pierwszy znak Polski Walczącej.

Smukła dziewczyna nie była zarozumiała, a jednak cichy uśmiech nieraz świtał na jej ustach na widok tysięcy podobizn wymyślonego przez nią znaku, malowanego wszędzie, gdzie się tylko dało.

Lecz uśmiech ten nie długo na nich gościł.

Któregoś popołudnia głuche walenie w drzwi wejściowe nie pozwoliło łudzić się nikomu z obecnych na konspiracyjnym zebraniu: nadchodziło Gestapo. Chwila konsternacji, potem moment opanowywania rozdygotanych nerwów i oto smukła dziewczyna otwiera siepaczom drzwi. Odpychają ją brutalnie i idą w głąb mieszkania. Takiej okazji nie można ominąć. W mgnieniu oka smukła dziewczyna jest już na schodach, unosząc tajne notatki. Tylko trzy piętra w dół — i będzie bezpieczna!

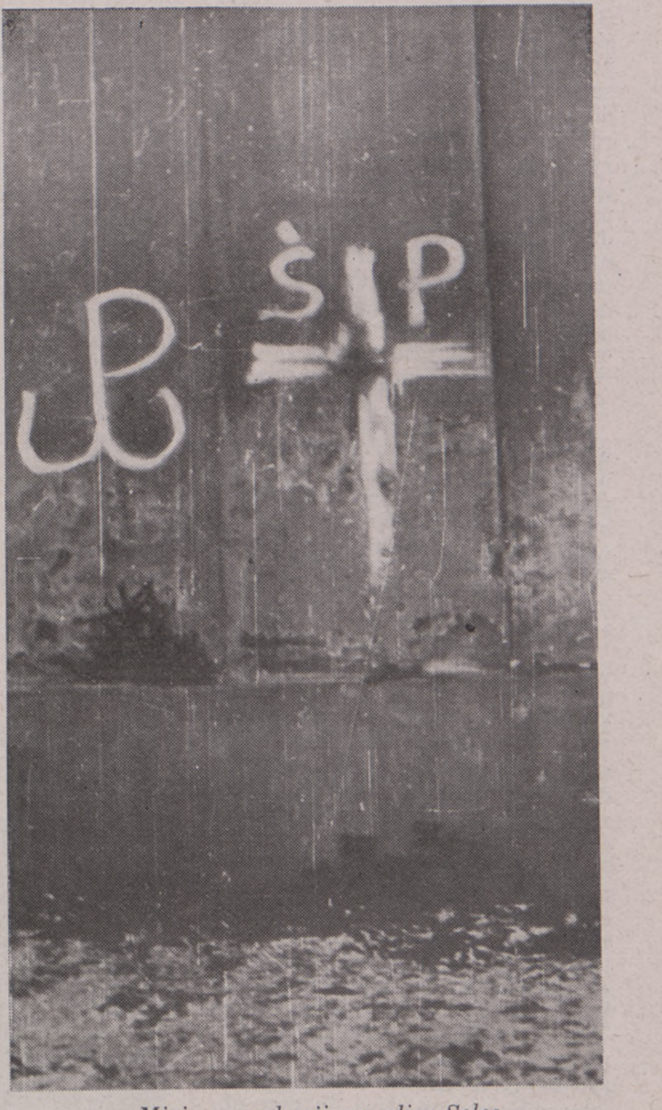
Czy słyszysz klekot drewnianych podeszew po schodach? Jest za głośny, zwraca uwagę. Któryś ze zbirów pochyla się szybko przez poręcz. Dojrzał uciekającą. Smukła dziewczyno, na próżno od szybkiego biegu serce łomocze ci w piersi: nie ujdziesz pogoni! Smukła dziewczyno, jakżesz łatwo jest znaleźć tajne notatki, ukryte w pośpiechu!

A dalsze dzieje? Prawie — banalne. Chamstwo badań, podczas których nie szczędzono żadnego poniżenia, dumne uparte milczenie, kilka miesięcy koszmaru w Oświęcimiu — i oto ręce, które nakreśliły pierwszy Znak Polski Walczącej opadły bezwładnie na zawsze . . .

* * *

Żołnierzu Polski! Gdy po tułaczce przez lądy i morza znajdziesz się nareszcie w wolnym Kraju — spójrz w oczy kobiety polskiej. W oczach twej żony, siostry, czy matki znajdziesz coś więcej, niż radość powitania. Znajdziesz udrękę oczekiwań, mękę codziennej walki o byt, spotkasz oczy nieulękłej towarzyszki żołnierzy Polski Podziemnej. Spójrz w nie głębiej. Toć przecież patrzą na ciebie nieśmiertelne oczy Emilii Plater!

ANDRZEJ POMIAN



Miejsce egzekucji na ulicy Solec

Walka — aż po śmierć

Auto mknęło ulicą Zygmuntowską ku Wiśle. Dwu ludzi przy kierownicy: szofer Sokół i kapral Juno — żołnierze Polski Walczącej. Gnała ich radość i troska. Jeszcze mieli w uszach zgiełk walki w dalekiej Alei Ujazdowskiej. Dopiero godzinę temu padł tam zastrzelony w odwecie osławiony Kutschera*, dopiero godzinę temu wyrwali się z krzyżowego ognia Niemców. Jeszcze mieli w oczach spowite w dym twarze dzielnych kolegów, lśnienie broni i krew.

Broń i krew. Mieszały się teraz na dnie wozu, za ich plecami. Dopiero co dwu ciężko rannych kolegów i jednego lżej draśniętego — zostawili pod opieką lekarską. Wieźli ich przez całe miasto, autem potrzaskanym przez kule, ścigani przez policję i żandarmerię, tropieni przez lotne patrole, telefony i sygnały. A przecież dowieźli.

Teraz — wracali tym samym samochodem, znanym już wszystkim posterunkom. Ratowali broń tak, jak dotąd ratowali rannych.

Niestety — ich cel był za Wisłą. Znów za miastem. Liczyli tylko na swoje szczęście. Chcieli uprzedzić pościg nim dopadnie mostu, zmylić ślad, zdać broń gdzie należało. Sądzili, że zdążą się przemknąć, że od strony Pragi — nikt ich nie będzie się spodziewał.

To była omyłka.

Kratowana perspektywa mostu nadleciała ku nim z szaloną szybkością. Szarzyzna Wisły zamigotała w żelaznych cieniach i błyskach. Potem uczyniło się przestrzenniej. Byli w połowie mostu, na "niemieckich" przęsłach. I wtedy — od strony Warszawy doleciał donośny sygnał. Pogotowie policji niemieckiej.

Auto zahamowało gwałtownie. Ujrzeli przed sobą w oddali łańcuch zielonych mundurów zamykający szybko wjazd na most.

Pozostawało porzucić postrzelane, schlastane krwią auto i próbować przedrzeć się na Pragę z powrotem. Ale broń była już wystrzelana i . . . — broń tę trzeba było ratować.

Szofer Sokół wykonał desperacki obrót kierownicą. Auto skręciło gwałtownie. Lecz zabrakło pół metra przestrzeni. Maska motoru uderzyła silnie o żelazną belkę, zdarty błotnik zahaczył o nią — wóz stanął jak wryty.

Obaj żołnierze wyskoczyli, sięgając po broń. Może chcieli ją rzucić do Wisły, byle w ręce wroga nie wpadła. Ale już nadbiegali Niemcy patrolujący most.

—Do wody! — krzyknął Juno.

Rzucił się w lewo do bariery. Nie zdążył jej przesadzić, gdy dobiegło go trzech SS-Manów. Skoczył na nich z gołymi pięściami. Dwu zwalił ciosami nóg, trzeciego — siłacz — strząsnął ze siebie i cisnął o deski. Przez ten czas szofer Sokół zrzucił kurtkę, przedostał się przez przeciwległą barierę i śmignął w przestrzeń. Znikł w falach.

Juno skoczył niemal równocześnie. Wychynął z lodowatego nurtu daleko. Pływak wyśmienity, mimo ciężkiego ubrania i butów szedł nurkiem, wynurzał się na chwilę i znów znikał. Wokoło siekły wodę kule bijące z mostu. Gonił krzyk Niemców i zaciekły trzask wystrzałów.

Sokół szybko zginął pod falami. Dosięgnął go któryś strzał i pociągnął w otchlisko, pogrzebał. Juno walczył ciągle, płynąc niezmordowanie z gwałtownym prądem.

Na moście, z bariery grzmiały dziesiątki karabinów. W ten trzask nieustanny wdarł się pośpieszny terkot motoru. To komisariat wodny słał w pościg motorówkę.

Setki i tysiące oczu patrzyły z obu brzegów Wisły na tę walkę śmiertelną i beznadziejną. Pływak nie poddawał się. Do ostatka. Motorówka policyjna zbliżała się z piorunującą szybkością.

Buchnęły bliskie wystrzały karabinowe. Raz jeszcze nad spienioną falę wzniosła się harda, dzielna głowa i — przepadła w nurcie.

Tak, walcząc, aż po śmierć — choć bezbronni — zginęli szofer Sokół i dobry żołnierz Juno. W przepaścistych, lodowatych wodach Wisły. Wiernej rzeki Walczącego Miasta.

JAS.

* Por. "Koniec "kata Warszawy"," druk. w nr. 31.

Braterstwo

Dzień przelatywał im jak gorączkowy majak. Warszawa niosła echo wieści, od których ściskało się serce radością i niepokojem.

. . . Padł generał Kutschera, padł Lübbert, zginął tajemniczo Eitner. Trzy zamachy jednego dnia. Policja szaleje w pościgach.

. . . Ranni koledzy już są pod opieką. Jakto? Więc było ich aż czterech? Walczyli przecież wszyscy do ostatka, wsiadali do aut o własnych siłach!

I nagle — piorunująca wiadomość: zginęli ci dwaj, co ratowali rannych. Pochłonęła, poniosła ich zwłoki zimna topiel Wisły . . .

A potem — to najgorsze: Niemcy odnaleźli rannych. Dwu. Dowódcę Lota i żołnierza Mariana. W lecznicy, gdzie ich — rzekomo jako przygodne ofiary strzelaniny — zawieziono. Gestapo dotarło aż do operacyjnego stołu. Bezprzytomnych oddano pod straż, przy łóżkach ustawiono policję. Więc wszystko na nic? Na darmo zginęli Juno i Sokół . . .

—Odbijemy! . . . Za wszelką cenę . . .

Jak gorączkowy majak trwał ten dzień złowrogi. Wszyscy w ruchu. Plany, projekty improwizowane od ręki, bieganina. Dziś, jeszcze dziś, bezwzględnie. Chociaż jest tylko parę pistoletów. Dziś . . .

Tuż po szóstej wieczorem wchodzili do szpitala na Pradze. Na czele dowódca plutonu.

Portier zmylony i obezwładniony nie zdołał podnieść alarmu. Połączenia telefoniczne przecięto. Obstawiono wyjścia. Grupa z dowódcą pomknęła na piętro. Mundury policjantów widoczne były z daleka w białej sali chorych. Jak drogowskazy.

Lufy pistoletów zabłysły. Steroryzowani policjanci podnieśli ręce do góry. Rozładowano im broń. A już nadbiegano z noszami.

Wierne, troskliwe ręce dźwignęły z łóżek bezwładne ciała.

—Jesteście? . . .

Ranni byli już przytomni. W woskowych twarzach — oczy przepełnione radością, wdzięcznością, uniesieniem, dumą.

Poniesiono do samochodu, pieczołowicie otulonych kocami, powieziono ciemnymi ulicami, złożono w bezpiecznym miejscu.

W ciągu 10 godzin przeżyli walkę, sieć obławy, mękę, operację, uwięzienie, i znów wolność. I znów byli wśród swoich, między którymi dobrze i żyć i umierać.

A potem — na piersiach ich złożono ordery wojskowe. "Walecznych" i "Virtuti".

JAS.

Na polsko-polskiej granicy

Północ już była bliska, gdy oddział przekroczył granicę. Daleki, księżycowy widok na omglone łąki, na srebrem pisane drogi, na uśpioną wieś . . .

Granica. Z obu jej stron polskie ziemie, rozerwane bezprawiem i gwałtem. Las "w dystrykcie warszawskim", podleśna ścieżka już w "Prusach Wschodnich". Bug i Narew w Prusach . . . Taka to granica. A nad nią łańcuch strażnic "*Grenzschutzu*". Niczym krzyżackie komturie średniowieczne, skąd ruszają łupieżcze wyprawy. Tylko teraz — zamiast białych płaszczów zielone mundury ze znakiem rozpłaszczonego orła. Grupy starych, doświadczonych żołnierzy frontowych, przysłanych na "wypoczynek" czyhają po strażnicach, łowią ludzi, grabią dobytek, świecą pożarami.

. . . Stąd, z krawędzi lasu widać o kilometr odległą strażnicę Sieczychy. Widna noc. Przed oddziałem — łąka przecięta w poprzek skarpą. Od lasu do wsi — prosta droga wiedzie odkrytym traktem. Strażnica na skraju wsi, opodal murowana szkoła, gdzie przebywa zazwyczaj część załogi.

Dwa ubezpieczenia po trzech ludzi poszły przodem do wsi, przeciąć zawczasu łączność i odwrót. Na skarpie został km. osłony, patrzący w las na spotkanie możliwej odsieczy. Reszta oddziału zwartym szykiem podciąga do wsi, osacza barak strażnicy czterema grupami od frontu, dwiema grupami flankując parkan na tyłach budynku. Ostatnia grupa przygotowuje skok na budynek szkolny.

Przed barakiem strażnicy warta. Czujny żołnierz dostrzega na słupie telegraficznym sylwetkę chłopca przecinającego drut. Pada strzał . . . Jak echo brzmi w odpowiedzi krótka seria: wartownik zabity.

Szturm. Cztery grupy jak jedna rzucają się do ataku. Z potężnym hukiem pękają w oknach granaty. Seria za serią, gra broń maszynowa, biją karabiny.

Z nienacka, niespostrzeżenie padł w baraku jeden jedyny strzał obronny. Celny. U progu strażnicy zwalił się na ziemię zastępca dowódcy oddziału, podporucznik T. Trafiony w serce skonał na rękach sanitariuszów.

A wewnątrz strażnicy — walka. Krótka. Dwu Niemców w mundurach. Jeden — stojący przy oknie z karabinem ginie od kilku kul, drugi, broniący się stołkiem pada pod ciosami kolb. Reszta — w bieliźnie kryje się pod łóżka lub wyskakuje tylnymi drzwiami pod kule flankujących tyły strażnicy pistoletów, po śmierć. Strzelanina rzednie szybko, dogasa.

Trupy . . . trupy . . . osiemnaście granatów, ze dwadzieścia luf . . .

Czternastu Niemców z dowódcą w stopniu kapitana zabitych. Dwu ciężko rannych.

Oddziałek atakujący szkołę trafił w próżnię. Nikogo tam nie było. Wraca prowadząc zarekwirowane furmanki i trzynaście zdobytych rowerów. Oddział ładuje zdobytą broń i amunicję, składa na wozy poległego oficera i dwu rannych /w zapale szturmu lekko rażeni odłamkami granatów/, zwalnia z zamknięcia dwu więźniów strażnicy, ściąga posterunki — i odwrót.

Wzdłuż granicy strzelają w niebo czerwone bukiety rakiet niemieckich. Alarm. Daleko szło echo szturmu.

Potem była przeprawa przez Bug, opanowanie promu ściągniętego wpław przez wysłaną na rowerach szpicę, potem biwak przy szosie, pod proporczykiem narodowym, wreszcie — odskok od punktu wyjścia.

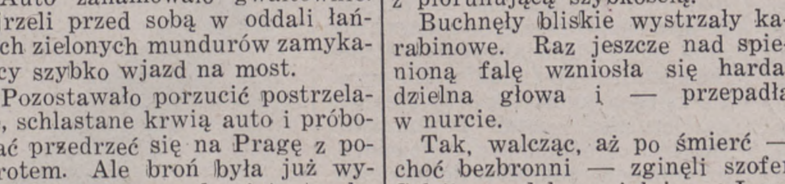
Tak było w Sieczychach. A w pięciu innych zdobytych strażnicach? W Młodzieszynie sześciu Niemców zabitych, jeden ranny. W Lisowie budynek spłonął razem z trupami załogi. W Stoku padło dwu zabitych, jeden ranny. W Grabniku czterech zabitych, jeden ranny — jeńców rozbrojono. W Arciechowie — inaczej: całą załogę wzięto do niewoli i pozostawiono, choć nagich, przy życiu, za to strażnica spłonęła. Odwet i kara.

Po obu stronach polsko-polskiej granicy rosły polskie serca.

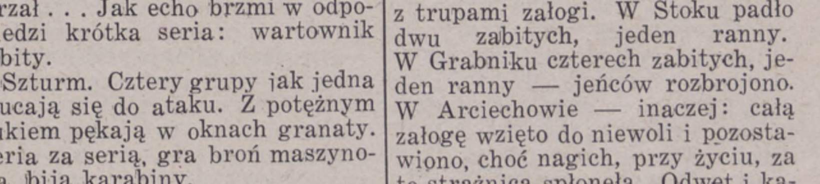
TAS.-JAS.

Trzy reportaże drukowane na tej stronie zostały nadesłane z Kraju.

Napis na murze przemianowujący Al. Jerozolimską



Tabliczka przemianowująca Pl. Teatralny



W DYWIZJONIE ZIEMI MAZOWIECKIEJ

LOTNISKO

Lotnisko jest, jak tyle innych wojennych lotnisk na wyspie, nowe, bez tradycji East Church czy Croydon, które w zeszłej wojnie służyły RAF'owi. Płaszczyznę pól pocięły szare drogi: szerokie dla samolotów, węższe dla samochodów, wąziutkie dla rowerów. Baraki o półkolistym stropie, hangary, domki pomalowano na kolor żyta, które właśnie zaczyna kwitnąć, przez co wtopiono owe siedziby ludzi i maszyn w zieloną jednostajność równiny. Lotnisko jest niemal niezauważalne dla widza z ziemi. W istocie jest ogromne i kryje drapieżcę: dywizjon bombowy "Lancasterów".

TROCHĘ HISTORII

Jest to najstarszy polski dywizjon bombowy sformowany w W. Brytanii 1 lipca 1940 r. Odznaka jego w kształcie tarczy herbowej jest symbolem przyjaźni: na lotniczej szachownicy piastowski orzeł i brytyjski lew. Dywizjon nosi nazwę dywizjonu Ziemi Mazowieckiej.

16 lipca 1941 r. odbyło się w S . . . święto wręczenia lotnictwu sztandaru przysłanego z Kraju. Sztandar wyhaftowały Wilnianki na prośbę lotnika Wilnianina /"Katoka"/ skierowaną do rodzinnego miasta jeszcze z Lyonu. Po złoto i srebro pojechała jedna z nich aż do . . . Berlina. Haftowały go potajemnie, poczem ksiądz poświęcił go w nocy w Ostrej Bramie i przekazał tym, którzy zajęli się żmudnym i niebezpiecznym przewiezieniem go do Anglii. Ów to sztandar, na który złożyło składki całe Wilno, wręczył przedstawiciel ziemi wileńskiej, generał Żeligowski Naczelnemu Wodzowi, a ten z kolei ofiarował go lotnictwu na ręce dowódcy Dywizjonu Ziemi Mazowieckiej. Pierwszy poczet sztandarowy składał się z dwu żołnierzy i podporucznika zwanego przez kolegów "Mopsem" dla jego okrągłej twarzy. W parę dni po uroczystości trzeba było zastąpić "Mopsa" kimś innym. Rzecz zwykła: nie wrócił z nad Niemiec.

W ciągu czterech lat istnienia dywizjon parokrotnie zmieniał sprzęt. Po powolnych "Battle'ach" przyszły "Wellingtony", zacne, wielkie maszyny, do których każda załoga czuła tkliwe przywiązanie za mocny kadłub, łatwość wodowania, prostotę pilotażu. Nie tak dawno załogi otrzymały "Lancaster'y", samolot szybki, nowoczesny, *"pure aircraft"*, jak mówią z mlaśnięciem zadowolenia studenci Politechniki, latający w dywizjonie.

Celami bojowymi były: w jesieni 1940 r. niemieckie porty inwazyjne, później przemysłowe bazy w Niemczech i Francji; dywizjon minował ponadto wody nieprzyjacielskie. Ostatnio bombardował wybrzeża Normandii. Co pewien czas w dzienniku lotów powraca jak refren cel okupowany drogo: po stokroć przeklęte kolorowe piekło — Ruhra.

Nie jest możliwe streścić historii dywizjonu, bo skrót musi operować ogólnikami, a życie lotnicze na wojnie jest bogate, piękne i — trudne. Już są grube księgi dywizjonowe, jest wiele nieoficjalnych, przepysznych pamiętników. Ktoś — oby jak najprędzej — złoży te rozrzucone elementy w rysunek, z którego całe pokolenia polskie będą brać wzór. Nie piszę czego wzór, bo lotnicy nie znoszą wielkich słów. Ale wiem jedno: żadne z tych wielkich słów w odniesieniu do dywizjonu nie stoi ponad określaną wartością.

MASZYNA, MECHANIK, LEKARZ

Dywizjon, który pierwszy z jednostek polskich wywalczył sobie "Lancastery", nie może się nasmakować tej maszyny. W dzień a często i całe noce dwaj inżynierowie i mechanicy "tyrają" przy samolotach. Dla laika wnętrze "Lancastera" wydaje się pełne zakamarów, jak stare mieszkanie. Ale nie zbędne graty są w tych zagłębieniach, przejściach, zakątkach. Każdy kawałek drutu, tafelka szkła, każdy guzik i strzałka, składają się na sprawność maszyny. A są tego setki. Kabina pilota to wystawa zegarów, pod nią zaś, poziomo, klawiatura klamek, zacisków, rączek. Nawigator ma niemal "biuro", oddzielone czarną kotarą od reszty załogi i okien maszyny. Strzelec tylni, którego wieżyczka nie jest osłonięta, tkwi tam w elektrycznie ogrzewanym ubraniu i elektrycznie ogrzewa wieżyczki karabinowe. "Lancaster" jest z rodu olbrzymów: rozpiętość skrzydeł wynosi 102 stopy! Owe drzwi bombowe, które pilot otwiera nad celem, to nie drzwi, to wielkie wrota. Elektryczny odkurzacz do czyszczenia wnętrza samolotu, ma wysokość trzech metrów.

Po spacerze w kadłubie, po przelezieniu wielkich progów, po zejściu po drabinie w dół, spotykamy por. inżyniera W., który, podchodząc do mego przewodnika, por. inżyniera S. pokazuje mu jakieś małe kółko i coś w rodzaju śrubki.

—Ach, to to! . . . — spojrzeli na siebie porozumiewawczo.

Stoję, przeraźliwie marna, w obliczu technicznej magii. Od tego oto drobiazgu, który ma wielkość ziarnka kukurydzy, od tego kółka nieco większego niż obrączka, zależał wczorajszy bojowy lot olbrzyma, bo, po starcie podwozie "odmówiło schowania się". Pilot, chorąży N. dostał rozkaz zrzucenia bomb do Kanału i zawrócenia na lotnisko. Twardy jest chłopak z 24-letniego chorążego N., przeszedł dwie, niemal śmiertelne kraksy, miesiąc temu wyciągnięto go z płonącej maszyny, więc się takim drobiazgiem nie przejął. Przejęli się za to technicy. I oto leży na dłoni ta jakaś jedna milionowa cząstka samolotu, która odmówiła posłuszeństwa. Inżynierowie kiwają głowami. Oni znają magię techniki.



Mechanicy przy pracy

Znają ją i mechanicy samolotowi, o których napisano już tak pięknie i tyle razy, że gdyby ilość dobrych słów mogła im wymierzyć sprawiedliwość, byliby już dawno . . . przecenieni. Tymczasem daleko jest nawet do realnej ich oceny wyrażanej normalnie awansem i gażą. Nie wiem dlaczego, ale tak jest. Ich żale nie często słyszy "góra" /której, jak mi wiadomo, leży na sercu sprawa awansów mechaników/, natomiast słyszą je codzień oficerowie techniczni, którzy nic pomóc nie mogą. Ale Polak, jak każdy Polak: może narzekać, lecz swoje robi. To też robota mechaników lotniczych dywizjonu jest wspaniała.

Osobą, która poza inżynierem i mechanikiem ogląda maszyny po locie, jest lekarz. Sprawdza on, czy opatrunki osobiste, które ma każdy z siedmiu członków załogi, i czy apteczki ogólne są w porządku. Plagą w dywizjonie — jak zresztą w całym lotnictwie — jest ściąganie nożyczek z paczki opatrunkowej. Są takie poręczne! Kapitan dr. W. uzupełnia opatrunki z wrodzoną pogodą i co miesiąc przeszkala załogi w pierwszej pomocy sanitarnej.

Posiada on pewne zabawne przyzwyczajenie: nie lubi siedzieć. W r. 1940, gdy przekradał się z Warszawy do oddziałów polskich w Palestynie, zdarzyło mu się tyle razy siedzieć w europejskich aresztach, że uraz pozostał do dziś. Zawsze woli stać i zawsze machinalnie ustawia się przy najbliższym oknie. Tyle razy wywiewał przez okno!

UŚMIECH LOTNISKA

W przerwach na posiłek po wszystkich drogach i dróżkach lotniska pedałują, biegają, chodzą — polskie "Wafki". Idąc z panią oficerką, widzisz ich salutowanie: ruch szyi, głowy, ręki posiada sztywność wojskowej musztry, twarz natomiast pełna jest kobiecego uroku, bo uśmiechają się oczy i usta. W takim salutowaniu przeszkoliła je pani komendantka.

—Nie salutuj obojętnie, bo każdy ci tu bliski. Nie salutuj niedbale, bo wyglądasz wtedy na zarozumiałą, a nie ma z czego. Salutuj z uśmiechem!

Komendantka, porucznik Stefania Z. jest żoną wojskowego. Jako młodziutka dziewczyna należała do P.O.W., broniła Warszawy w 1920, potem zaś stale pracowała w kobiecych organizacjach przysposobienia wojskowego. Dwie baretki, Krzyż Zasługi i "Polska swemu obrońcy" mówią o przeszłości. Teraźniejszość — to kierowanie licznym zespołem "Wafek". Jest to rola i trudna i wdzięczna.

Pewien pilot "Mosquito", który lata już w trzeciej kolejce bombowej, a więc doświadczenie z tej wojny ma niezgorsze, powtarza uporczywie: "Na dowódców nam nie trzeba Napoleonów, ale pedagogów". Ten dopiero byłby uradowany, widząc metody pracy komendantki wśród przeszło półtorasta "Wafek". Serce i intuicja sygnalizują jej, gdy w jednostce czy grupie jest moment rozterki, lub walki, lub dojrzewania, a rozum i doświadczenie śpieszy, by ten moment stawania się innym człowiekiem, innym zespołem, jednostka, czy grupa rozegrały jak najlepiej. Polskie "Wafki" w Dywizjonie Mazowieckim to w większości młodzież. Ich służba wojskowa jest jednocześnie szkołą życia. Zasady pracy i postępowania, dziś wyrobione, utrwalone, czy sprostowane, mogą i powinny służyć na życie całe.

Dowódca dywizjonu mówi, że "Wafki" wniosły na stację uczciwą pracę i dużo serca, choć z początku "odstawiały królewny". Istotnie, gdy objęły funkcje pomocnicze w dywizjonie, istniały przez pewien czas powody do obustronnego niezadowolenia. One narzekały, że towarzysze pracy używają niecenzuralnego słownictwa i co raz to obrażały się, oni czuli się skrępowani /Angielki nie rozumiały soczystych wyrażeń/, nazywali Polki — "hrabinami", którym daleko do prostoty i koleżeńskości Angielek. Ale czas i wspólna praca zrobiły swoje. Gospodarze, jakimi w stosunku do "Wafek" są na tej wyspie lotnicy, pohamowali języki i "Wafki" przestały się stroszyć. Lotnicy przymknęli oczy na początkowe niedociągnięcia, potem ocenili pracę i jej tempo. Teraz "Wafki" zaczęły być sobą: starannymi pomocniczkami, a z czasem stały się również i miłym towarzystwem na spacerze czy w kinie. Dziś świetlica polskiej YMCA huczy wspólnym śmiechem, śpiewem, muzyką. To pewne, że każda ludzka serdeczność okazana "Wafkom", które w większości przeszły przez deportacje, zesłanie, łagry, daje im zdrowie i siłę, aby zapomnieć i budować na nowo.

Drugą polską oficerką na lotnisku, wyspecjalizowaną w przepytywaniu załóg po locie, jest por. Aleksandra D. żona marynarza. To nie było łatwo zdecydować się na rzucenie interesującej i dobrze płatnej pracy w sztabie, na zwinięcie domu i pójście na kurs wojskowy, a jednak:

—Zdecydowałam się. Było mi wstyd, że prowadzę życie tak wygodne i spokojne, gdy w tym samym kraju walczą Polacy, a ja mam możność służenia walczącym. Na lotnisku czuję, że jestem potrzebna. I — jestem szczęśliwa.

Pani porucznik Oleńka, smukła, czarna, wygląda świetnie w mundurze. A że ma w sposobie bycia spokój i powściągliwość, które czynią jej urodę nieco dumną, utarło się, że Anglik czy Polak, który wodzi za nią oczyma, nazywa się "Kmicicem".

Jeśli piszę tak obszernie o "Wafkach", to nie przez solidarność płci. Te dwie oficerki na czele dużej grupy Polek pierwsze odeszły do "linii". Sygnalizuję kopalnię tematów dla pedagogów, psychologów, dziennikarzy. W dywizjonie Ziemi Mazowieckiej jest zaczątek tego, co rozbudujemy w Kraju: czynna i umiejętna pomoc kobiet dla lotnictwa.

KAPELAN, KAPLICA I KŁOPOTY OŚWIATOWE

Kiedy raz po kolacji weszłam do messy zobaczyłam, że w kącie koło biblioteki, barczysty ciemny porucznik mocuje się z drobnym małym kapitanem. Śmieli się obaj przytem niepowstrzymanie i to jeden to drugi gubił okazję dobrego chwytu. Wreszcie porucznik wdusił kapitana w fotel.

—Czego chcesz, paploku? — dyszał kapitan.

—Ty mazoku, ty! — śmiał się porucznik.

—Odejdź, bo cię faknę! — groził, raczej teoretycznie, kapitan.

Moje wejście spłoszyło śląskie wymyślanie i zwolniło kapitana. Porucznikiem okazał się 32-letni nawigator Franciszek D, Ślązak, kapitanem 30-letni ksiądz kapelan Franciszek K. proboszcz parafii Bożego Ciała z Krakowa, zakonnik z zakonu kanoników regularnych, kiedyś wytrwały turysta po Śląsku.

—Tak sobie przypominamy czasem naszą gwarę — tłomaczył zaczerwieniony kapelan, poprawiając przekrzywioną koloratkę i uśmiechając się po sztubacku.

Kapelan dywizjonu, będąc w Rumunii, szmuglował wizy pod sutanną. W Anglii spokojny żywot w wojsku nie przemawiał mu do przekonania. Na lotnisku używa roweru. Inaczej nie zdążyłby! Odwiedzić chorych i rannych na jednym końcu, lekcja z junakami na drugim, nabożeństwo czerwcowe, spowiedź Polaków i Anglików, po kolacji próba chóru mechaników w pokoju przy kaplicy. A gdy są loty, czekanie na załogi do 2-ej, 3-ej, 5-ej w nocy. Rano zaś normalna służba w kaplicy.

Z kaplicy wszyscy są dumni i prowadzą tam swych gości. Początkowo był tu jakiś warsztat, po środku stał stół na cementowych nogach. Gdy Anglicy oddali budynek kapelanowi, ksiądz skrzyknął lotników do pomocy. W pół godziny stół zniknął, zjawiło się natomiast linoleum zdobyte sposobem wiadomym tylko niektórym. Potem, już jawnie, postarali się lotnicy o krzesełka. Ołtarzem zajęło się pięciu: kreślarz, mechanik, grawer, sztygar i zawodowy podoficer. Pracowali wieczorami przez miesiąc, rezygnując z wolnych dni. Kłócili się przytem bezustannie o szczegóły ołtarza, jak tylko Polacy przy raźnej pracy kłócić się umieją: wybuchowo i wesoło. Gdy złożyli ołtarz, gdy ustroili kaplicę kwiatami, zaczęło się jej życie codzienne. Chodzą na mszę lotnicy z "wodzem" na czele, chodzą "Wafki", Anglicy w mundurach i cywilni z pobliskich farm. Dla kapelana nie ma rzeczy niemożliwych. Chce kupić fisharmonię — już sypnęły się datki i w ciągu dnia zebrał potrzebne £14. Proponuje kotary — już mu przynieśli £10. Ma ile zechce i kiedy zechce.

Służba duszpasterska to jedno, praca oświatowa — to drugie pole działania księdza. Tak się złożyło, że dywizjon przez czas dłuższy nie miał oficera oświatowego i kapelan spełnia jego funkcje. Ku zgrozie księdza junacy, którzy przyszli na lotnisko, zostali batmanami. Dzięki zrozumieniu dowódcy, przeniesiono chłopców do dywizjonu i zwolniono na naukę przed południem. Uczą ich "Wafki" i lotnicy. Kurs szkoły powszechnej odchodzi aż miło. Kapelan organizuje również lekcje dla "Wafek", pragnie, by pokończyły szkoły powszechną lub gimnazjum.

Ksiądz widzi czasem na lotnisku rzeczy niewidoczne. Poskarżyli mu się kiedyś chłopcy z obsługi naziemnej, że "Wafka", która z nimi pracuje, jest ciągle osowiała, ani się uśmiechnie, ani zażartuje. Nie to, co poprzednia Angielka, aż smutno razem pracować! Kapelan dużo jeździ na rowerze. Jechał tedy w parę dni potem wśród kwitnących łanów żyta i widzi, że właśnie w bok skręciła owa "osowiała" "Wafka", zsiadła z roweru na miedzę i płacze. To tak duszko spędzasz swego "offa"? — pomyślał kapelan. Delikatnie dowiedział się od przełożonych, kto ona, czemu płacze i jak nie szurnie do tych, co chcieli uśmiechu od "Wafki", jak ich nie rugnie.

—Kobieta straciła męża, a nim go rozstrzelano, pokazano go jej zmasakrowanego. Potem straciła dziecko w drodze na zesłanie, a drugie umarło z głodu. I wy chcecie, żeby śmiała się z wami, jak dziewczyna, która nie przeżyła żadnej tragedii, za którą stoi całe potężne imperium? Mówię wam, jak jest, a od was już zależy, czy ona znajdzie tu życzliwych ludzi czy potrafi się uśmiechać.

Dzisiaj dywizjon — to mała społeczność. Są ci, co latają "na wojnę" i jest zaplecze, są kobiety i mężczyźni, zdrowi i chorzy, dorośli i zielona młodość. W tym światku kapelan Franciszek K. spełnia nieraz rolę katalizatora: wywołuje i przyśpiesza pewne reakcje, sam nie biorąc w nich udziału. Nie krążą wokół jego osoby owe przesądy, że obecność księdza "zapesza". Bywa na starcie i zawsze bywa przy powrocie. Życie i śmierć idą swoim torem, a lotnicy są księdzu Franciszkowi tylko wdzięczni, że i on ich wygląda.

Pytałam dowódcę o kapelana. — Kapelan? Fenomenalny!

Pytałam załogi. — Kapelan? Najserdeczniejszy przyjaciel i kolega.

Pytałam księdza, dlaczego przeszedł z armii lądowej do lotników. — Bo ich bardzo kocham.

DOWÓDCA

Major Teofil P., jako chłopak, grywał zapamiętale w radomskich "Czarnych". Był w drużynie bramkarzem: cierpliwym, zwinnym, silnym. Takim jest jako *wingcommander* /dowódca "skrzydła"/. Cierpliwy, kiedy siedzi w swojej wąskiej, ciemnej kancelarii; właśnie jest kwadrans "piti" */Physical Training/*, więc personel biurowy gra w piłkę, która łupie co chwila o blaszaną ścianę beczki śmiechu na wysokości głowy dowódcy. Nie zwracając na to najmniejszej uwagi, major P. załatwia "papierki". Tak jest! Musi, choć nie znosi tych wykazów, listów, telefonów. Spał dziś "aż" pięć godzin, bo wyprawa wróciła wcześnie, a że cała, więc dowódca promienieje. Są już i gratulacje z grupy za celność bombardowania. 7-ma wyprawa w ciągu 8 dni inwazyjnych!

O zwinności dawnego bramkarza mówią cyfry: 37 lotów bojowych na "Wellingtonie" i 8 na "Lancasterze". Siła zaś? Siła leży w tym, że potrafi, sypiając po dwie, trzy godziny na dobę, być równym i spokojnym. Że zna załogi, dba o ich *"spirit"* i rozumie je. Że lata sam, wykłócając się zresztą o każdy lot z komendantem bazy, gdyż według przepisów dowódcy wolno latać tylko raz na miesiąc. I że rozumie, iż poza lataniem lotnisko posiada swe życie "ziemskie": personel naziemny i "Wafki", szkołę powszechną i izbę chorych, kaplicę i świetlicę.

—Wróżyła mi jedna z "Wafek" z ręki: będę jeszcze szczęśliwy i umrę śmiercią naturalną. Szczęśliwy, to znaczy, że — tak jak marzę — wrócę do Kraju na "Lancasterze" — mówi z uśmiechem na bardzo mizernej twarzy. — Więc dobrze, że zaczęliśmy już raz tę inwazję.

"ZACZĘLIŚMY INWAZJĘ"

Dowódca, jak i wszyscy na lotnisku, dumny jest, że dywizjon był czynny w noc inwazyjną. Celem były tereny koło Cherbourga. Na odprawie specjalną wagę przywiązano do celności bombardowania, które musiało być dokonane z wysokości najwyżej 2000 stóp, nakazano ostro trzymać się ściśle trasy docelowej i powrotnej, zalecono całkowity brak zainteresowania tym, co się dzieje w Kanale.

—No to wiedzieliśmy, że "job" jest specjalny — mówi por. nawigator Andrzej G. — Ci, co żegnali nas, trzymali kciuki w górę. Nad celem było jasno od księżyca i zorzy zachodniej. Ogień artylerii zrazu mocny, osłabł pod koniec bombardowania. Wracając, broń Boże nie zboczyć na wschód! — zobaczyliśmy setki amerykańskich transportowców "Dakota" lecących ku Francji. Wiozły spadochroniarzy. Na drugi dzień — cóż za radość! Bombardowaliśmy tereny, gdzie wylądowali spadochroniarze. A więc — wzięliśmy bezpośredni udział w inwazji. Nie zaplecze było naszym celem, lecz cele taktyczne.

Sięgnijmy do pamiętnika por. nawigatora Zygmunta P., który zaczynał pierwszą z trzech kolejek bombowych w Dywizjonie Ziemi Mazowieckiej. Niech mi wybaczy, pijąc dobre południowe wino, że bez pozwolenia cytuję wyjątek spod daty 14 września 1940 r. Jakże to wyglądała owa pierwsza wyprawa bojowa Dywizjonu?

"Nareszcie lecimy! Po roku bolesnej przerwy, przykrych rozczarowań, lecimy tam, na drugą stronę Kanału. Lecimy wygrzać bomby na brzeg francuski, gdzie lęgnie się inwazja na Anglię, gdzie skupia się militarny wysiłek przeklętych Niemców do ostatniej śmiertelnej rozgrywki.

. . . Nasze chłopaki chodzą przejęte od najmłodszego smolipyską do najstarszego włącznie. Każdy skaka koło tych maszyn i tych chłopaków, co pierwsze polecą: a może to, a może tamto, pomóc, zrobić. Koleżeństwo jak ciężka cholera. Wtedy dopiero poczuliśmy się naprawdę wielką eskadrową rodziną . . . Wreszcie wystartowali, żegnani życzliwymi okrzykami. Gdy ostatni punkcik rozpłynął się na niebie i zniknął, rozeszli się wszyscy po hangarach. Rozpoczęło się pierwsze dręczące wyczekiwanie, czy wrócą wszyscy? . . .

10 wieczór: Zapalono czerwone światełka lotniskowe, świetlna litera T do lądowania wystawiona, w kasynie alkohol do oblania też "ready", wszystko czeka. Jest . . . zrazu cichy niby brzęczenie komara warkot silnika, coraz głośniejszy, wreszcie widać trzy światełka pozycyjne. Świetlną literą dnia prosi o lądowanie, błysk zielonego światła mu odpowiada, podchodzi do lądowania, ląduje w snopie światła reflektora lotniskowego. Podbiegamy zobaczyć, czy wszystkie bomby wypadły.

Pierwszy jest kpt. Antonowicz /z dywizjonu bratniego/. Nasi później wrócą, bo naloty na cel równe być muszą. Jak na poligonie. Postrzelać z karabinu też można. Króciutkie seryjki po reflektorach. Trafić się koniecznie nie musi, ale Germańcom w ten deseń też kota można popędzić. A na te wszystkie zabiegi Angliki tylko trzy minuty przeznaczyli. Toż my, psiakrew cholera jasna, po to tu do Anglii szli, po to się przez drogę tyle namęczyli, po to tak długo czekali, żeby oni nam teraz tylko trzy minuty nad Niemcami przeznaczali?! Przeznaczać se mogą, wolno im, pełnoletnie są, a my swoją szosą swoją robotę równo odstawiać będziem, tylko trzeba tam w powietrzu uważać, aby się na jakiego rodaka nie wpakować.

. . . .

Nasze eskadrowe europlany wróciły około północy. Rozumie się, że wszystkie. Około 5 nad ranem kładli się chłopaki spać zmęczone srodze i na skrzydło strasznie ciężkie, bo się kapkę napili".

Dwie daty. 14 wrzesień 1940 i 5 czerwiec 1944. Jakiż szmat życia! Dywizjon, z broniącego Wielką Brytanię przed niemiecką inwazją, stał się sam agresorem, narzędziem inwazji. — "Czuliśmy się jak karzący miecz w ręku sprawiedliwości" — powiedział mi bombardier, zrzucający bomby w nocy 6 czerwca.

Marzenie tylu, którzy służyli w Dywizjonie: zacząć powrót — staje się udziałem następnych, innych, szczęśliwszych.

CI "SZCZĘŚLIWSI"

Jest 14 czerwiec, tydzień po rozpoczęciu inwazji. Jemy właśnie późną kolację po moim przyjeździe, gdy kpt. J., spojrzawszy na zegarek, mówi powolnym, równym głosem: — "Za 30 sekund będą bombardować, za 20, za 10. Bomby poszły!" Cel tego dnia był bliski, więc już przed 12-tą czekamy na dachu *Flying Control*. Z obowiązku powinno być tu parę osób zaledwie, ale jest kilkanaście: obie panie oficerki, kapelan, koledzy.

—Zgłosiło się już czterech — mówi oficer techniczny.

—Już pięciu — poprawia ktoś, wchodząc po schodach. — Jeszcze czekają na dwu.

Cisza nocna gubi się powoli w szumie czteromotorowych maszyn. Nie słychać już ani wiatru, ani szumu drzew, które w zmierzchu czyniły z lotniska pole żyjące życiem lata. Nadlatują. To nie są te "Lancastery", które, ciemne i tajemnicze, suną nad Londynem. Migają ich kolorowe światła, lotnisko nie zna *blackout'u*, świeci czerwienią i żółtością lamp. Lądują tuż przed nami, równo, prędko. Każdemu dotknięciu kół o ziemię towarzyszy nagła cisza na dachu *Flying Control*. Szanuj ją! Ten moment bowiem powraca załogi ziemi i życiu.

Wypatrujemy jeszcze dwu samolotów i nikt nic nie mówi. Jeśli nie zgłoszą się zaraz, czekanie stanie się obawą. Wylatywały w zwartym zespole, powinny powracać jeden tuż po drugim. Gdy tak czekamy, jasne niebo ożywa nagle, przejmujący szum wzmaga się. Dziesiątki świateł sunie szeregami na południo wschód: nowa wyprawa. Musiała jeszcze przed doleceniem do nas zebrać z lotnisk wszystkie strumienie dywizjonów w jeden wielki nurt, bo światła suną po niebie szeroko i długo. Niebo jest jasne od zorzy wieczornej i nie widać na nim gwiazd prawdziwych, przeto widok ma w sobie coś z apokalipsy: ruszyły gwiazdy.

A nasi? Gdzież są nasi?

Są! Jeszcze dwa zamilknięcia przy dwóch lądowaniach i przejęty głos oficerki mówi miękko w ciemności: — "Chwała Ci, Boże".

Teraz wesoło i gwarno schodzą wszyscy na dół i gnają na rowerach: jedni do pokoju załóg, inni do "messy". Por. Aleksandra D. ma dziś nocną służbę w *Intelligence room* więc śpieszy, by podać przedtem załogom herbatę i sandwicze. Por. Stefania Z. nie ma służby i mogłaby iść spać, gdyby nie to, że dziś dwie załogi leciały po raz pierwszy, więc chce wiedzieć, jak się czują. Oficerowie wchodzą do "messy" głodni, mimo poczęstunku w pokoju załóg. Umyci, przyczesani, w wysokich kołnierzach białych i granatowych swetrów, niektórzy jeszcze w futrzanych butach, bo zmarzli.

—Pani dziedziczko, głodni jesteśmy — wołają serdecznie do por. Stefanii, która krząta się koło stołu i uśmiecha prześlicznie.

Marysia, polska "Wafka" z Polesia, przynosi każdemu bekon z jajkiem i *"chipsami"* i to narazie, nic innego, jest przedmiotem powszechnego zainteresowania. Nasyciwszy głód, zabrali się do puddingu i wtedy zaczęli opowiadać o locie.

Polski "Lancaster" w powietrzu



—Rzucił się na mnie w pokoju załóg korespondent "Skrzydeł", sierżant R . . . — mówi por. Andrzej G. — "Jakie *newsy*?" Idź Pan do kina, mówię mu, jak chcesz *newsów*. Żadnych! Wstyd człowiekowi na taką wojnę latać. Żadnego strzelania, tylko w jednym miejscu skoncentrowanie artylerii. Dym dochodził do 13.000 stóp. Ale w ogóle spacer, nie wojna. To nie to, co dwa dni temu . . .

—Co było dwa dni temu? — pytam.

—Trzy nasze załogi nie wróciły z nad Ruhry — odpowiada krótko.

Teraz nareszcie rozumiem. I wzruszone: "Dzięki Ci, Boże" "Wafki". I cień, który przemknął po twarzy adiutanta, gdy mówił, że ma ostatnio dużo pisania. I godzinę śmiechu oraz dowcipów w "messie" zaraz po moim przyjeździe. Były to śmiech i dowcip tak żywiołowe, że w żadnym wypadku nie mogłam położyć tego na karb mego przybycia, bo wiadomo, za jaką plagę uważana jest na lotnisku osoba pisząca, w dodatku pisząca kobieta. Dowódca postawił wszystkim piwo, trzem zaś paniom *sherry*, dowcip gonił jeden za drugim, śmiech grzmiał. Tak śmieją się ludzie, których nerwy są napięte i którzy na krótko odpoczywają w śmiechu — pomyślałam wtedy.



Załoga "Lancaster'a"

Następnego dnia polecieli znowu. Tym razem dowódca zdołał wytargować lot dla siebie. Wrócili wszyscy. Dwie wyprawy udane — ciężki nastrój został przełamany. Lotnicy już nie zakrywali się od innych płachtami gazet, "Wafkom" obeschły czerwone oczy. Zaczęli nawet mówić o tych dwudziestu i jednym towarzyszu, snując nadzieje ocalenia.

W pewnym momencie w "messie", gdzie wszyscy pili poobiednią kawę zawrzało: twarz dowódcy zrobiła się twarda i pochmurna, adiutant przestał się pogodnie uśmiechać, młodzi gestykulowali, coś wykrzykiwali i aż czerwienieli z irytacji. Było to właśnie po przybyciu poczty. Nagadawszy się między sobą, podeszli do mnie.

—Pani widzi, co piszą?! — podali mi "Dziennik Polski" z 10 czerwca i wskazali na tytułowej stronie komunikat kwatery prasowej S.Z. Przeczytałam: "Dywizjon ciężkiego bombardowania wykonał w nocy z 9/10 i 11/12 czerwca zadania patrolowania wybrzeży Francji". Por. Andrzej spojrzał na mnie:

—Nawet tego nie wiedzą w Londynie, co robią najcięższe bombowce! Patrolują! I pomyśleć, że redagował to jakiś lotnik, że czytało potem jakieś biuro prasowe, jakiś redaktor to puścił na pierwszą stronę. Przez trzy ręce co najmniej przechodziła ta notatka, ale żadna z trzech głów nie pomyślała, czy nie nauczyła się jeszcze dotąd, co robi dywizjon ciężkich bombowców. Patroluje! Uważa Pani? A obok, proszę: opis wyprawy na Ruhrę. "1400 tonn bomb na Gelsenkirchen". Komunikat RAF podaje, że nie wróciło 17 maszyn. Ale że było w tym trzy nasze, o tym dowiemy się z polskiej gazety za tydzień może. A nasz dywizjon przywiózł wówczas z nad Gelsenkirchen najlepsze fotografie z całej Grupy, najlepsze na przeszło . . . maszyn! I straciliśmy 21 chłopców! I nic! Patrolujemy! — Inteligentne szare oczy pociemniały mu z żalu i obrażonej dumy.

Por. Andrzej, który ma półdyplom Politechniki Lwowskiej, przyszedł do lotnictwa z broni pancernej. Czemu? "Bo to jest wspaniałe: latać. Wspaniałe i zaszczytne!" Z saperów przyszli dwaj inni: por. Eugeniusz Ch. z Przemyśla i por. Kazimierz G. z Niepołomic. Jest to para stale wiodąca spór o starszeństwo i piękno rodzinnych miejsc. Urosłam w oczach por. Eugeniusza, bo znam Przemyśl.

—Tylko do Przemyśla wracam po wojnie. Jakie tam piękne niewiasty! Ty znasz Przemyśl, ty? — zwrócił się do kolegi.

—Przypadkiem przejeżdżałem i o mało mnie tam nie obito, takie typy!

—To nie świadczy źle o mieście — wykrzyknął por. Eugeniusz Ch. — Najstarsze kroniki notują Przemyśl.

—A w Niepołomicach polował król Kazimierz — odezwał się por. Kazimierz G. — Królewskie miejsce.

—Król Kazimierz polował?! Taki poważny gość z brodą i polował — powątpiewa Przemyśl.

Eugeniusz Ch. studiował politechnikę w Gdańsku.

—W lutym 1939 r. Niemcy pobili nas w auli. Okropnie! To nie było *fair*, nas tak mało, a ich kupa. Nie wypada więc teraz, żeby im nic za to nie zrobić. Choć mam dopiero jeden lot, jeszcze Niemcy zapłaczą.

—A po wojnie?

—Po wojnie ożenię się w Przemyślu. Będziemy mieć drużynę piłki nożnej.

—Nie załogę "Lancastera"?

—Co, załogę? Kaszkiety malutkim sprawię, żeby w górę nie śmieli patrzeć.

—Czemuż nie mają latać?

Spojrzał na mnie z komicznym zgorszeniem:

—Taż niebezpiecznie! Spaść można!

Tylnym strzelcem w załodze porucznika z Niepołomic jest 28 letni plutonowy z Wilna, Henryk Cz., z ośmiorga rodzeństwa najmłodszy, szybownik kategorii D, z ukończoną szkołą techniczną na Antokolu. Przeszedł internowanie na Łotwie, obóz na półwyspie kolskim. Podróżował rozmaicie, najczęściej po parę dni bez wody. Gdy wychodził z wagonu, jak sponiewierane zwierzę na czworakach, pił wodę z przydrożnego rowu. I oto teraz — jakże inne odbywa podróże! Parogodzinne, w ubraniu ogrzewanym elektrycznie, z termosem kawy pod ręką.

—Zawsze wytrzeszczam oczy, aby spostrzec dość wcześnie ciemną plamę myśliwca. Atakował nas jeden nad Dortmundem, drugi nad Kassel. Gdy szczęście dopisuje i w czas się myśliwca zobaczy, to można i kolejkę całą zrobić. Nasza załoga chyba zrobi, bo się zawsze kłócimy na ziemi, a milczymy w powietrzu, a takie załogi są najlepsze.

Ze złamaną w kraksie ręką lata nawigator, 32-letni Ślązak, por. Franciszek D. Ojciec walczył w powstaniach śląskich, syn naprowadza maszynę na cele w Niemczech. Por. Franciszek brał udział w obronie Warszawy, przeszedł granicę, uciekł z obozu na Węgrzech, we Francji służył w saperach. Do Niemców ma stosunek rzeczowego wroga, bez uniesień, zabójczo konsekwentny; życie po wojnie planuje realnie. Urlopy spędza w Szkocji, gdzie opiekuje się jako harcerz, drużyną szkockich skautów, z nimi jeździ na obozy. Że swego nie daruje — to pewne. Gdy przewodnik, prowadzący jego grupę ku węgierskiej granicy, korzystając z niebezpiecznej sytuacji, zażądał dodatkowo po 200 zł. od osoby, por. Franciszek dał mu, ale tak zgrzytał zębami ze złości, że aż go musieli towarzysze uspakajać. Gdy minęli straże, a grupa zbiegła w dół, zwrócił się do przewodnika.

—No, dziękuję panu, powiedziałem, zaczynam teraz nowe życie — i wyciągnąłem rękę do niego. Ani drgnął, trzymał rękę pod kurtką, wiedziałem, że na moim mauzerze, którego mi szelma zabrał. Ale uśmiechnąłem się do niego i wtedy podał mi rękę. Szybko kopnąłem go kolanem w brzuch, przewróconemu wpakowałem chusteczkę w usta, wyciągnąłem swój pistolet, odliczyłem z portfelu zabrane nam podstępnie pieniądze, zabrałem ubożuchne futro, które wyłudził od księdza, i zostawiwszy go zamroczonego, dogoniłem towarzyszy. Oddał? — zdziwił się zsiniały z zimna ksiądz. Mruknąłem potakująco. I pieniądze wzięte extra — też.

Każdy z tych latających, 40-to, czy 20-to letni ma za sobą życie pełne przygód. W sobie nosi wspomnienia rodzinnej wsi, szkoły, drogich osób. To nie tylko Janek lata na "wysoką" lub "niską wojnę". Nie tylko Henryk grzeje do myśliwca. Nie tylko Franek prowadzi potrzaskaną maszynę do bazy. To lata i walczy, to u Boga wywalcza sprawiedliwość dla Polski niepołomicki las, szkoła na Antokolu, twardy trud sztygara, modlitwa lwowskiej matki, westchnienie radomskiej narzeczonej — towarzyszące Kazikom, Bolkom, Frankom.

I dlatego, będąc w dywizjonie, nie tylko dywizjon masz przed sobą, lecz Polskę i bogactwo jej natury masz przed sobą. Naturalnie, lotnictwo nie ma na ten obraz monopolu. Ale prawdziwą daleką Polskę na pewno znajdziesz w dywizjonie: walczącą, uśmiechniętą wbrew lękowi, patrzącą realnymi oczyma wprzód.

ZAMKNIĘCIE

Byłam za krótko w dywizjonie, aby porozmawiać bliżej z "Wafkami", posiedzieć w świetlicy, poznać sierżantów i żołnierzy dywizjonu. Będzie to tematem następnej wizyty, tymczasem zaś, chcąc pokończyć zaczęte rozmowy, umówiłam się z por. Bolesławem C., że się spotkamy w "Ognisku Polskim", gdy przyjedzie na urlop do Londynu, bo nie było dość czasu na szkic jego sylwetki. Nie spotkaliśmy się. Pisałam przeto do Andrzeja G., którego urlop wypadał później. Nie odpowiedział. Napisał natomiast "Burmańczyk":

"U nas, niestety, jedyne zmiany — to brak w messie kilku kolegów. Parę dni temu zabił się Andrzej G., zaś przedwczoraj nie powrócili z lotu Bolek C. i Z. Bardzo to przykre i oczywiście przez pewien czas wpływa deprymująco na pozostałych. Trudno jednak, gdzie drwa rąbią . . ."

Bolek C. miał lat 24, był studentem politechniki warszawskiej. spod lnianej czupryny uśmiechały się bardzo niebieskie oczy. "Nie wrócił", a więc może się jeszcze znajdzie? Ale Andrzej zginął na pewno. Gdy rozmawiał ze mną, miał 14 lotów i mówił do księdza: — "Jak ja skończę kolejkę, to tak wszyscy będą leżeć w messie, księże kapelanie, od ściany do ściany" — tu siekał ręką powietrze, niby że wszyscy popadają jak snopki koło siebie. To jego oczy błyszczały, gdy mówił: — "Czemu się przeniosłem do lotnictwa? Bo to jest wspaniałe — latać. Wspaniałe i zaszczytne!"

Jakże było owych dni w dywizjonie? "Wafki" znów nie jedzą posiłków i popłakują po kątach. Kolega znów goni na rowerze wokół lotniska, by zabić czas. Kapelan znający dusze: ich wielkość i grzech, ich poświęcenie i zwątpienia, martwi się — czy "oni", tam, w Londynie, wygrywają wszystkie atuty, jakich dostarcza walczący lotnik? Dowódca siedzi przygasły, czuje, że ma w tej chwili lat 50, nie 31. Siedzi w messie, gdzie to wszyscy mieli leżeć pokotem po skończonej kolejce Andrzeja. Patrzy na swe twarde ręce, które parę godzin temu zdjął z drążka sterowego: przez te ręce dowódcy Dywizjonu przechodzi w sławę — Polska.

ALEKSANDRA DOBROWOLSKA

Łzy i uśmiech Francji

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")



Powitanie Polaków na ulicy francuskiego miasteczka

Dotarliśmy do drzew. Dotarliśmy do zielonej trawy.

Słów tych nie zrozumie ten, kto nie oglądał 32-kilometrowego pola bitwy na odcinku Caen-Falaise. Pola, na którym nie pozostało nic z życia i zieleni. Bezlistne kikuty drzew patrzą tu smutno w niebo. Co kilka kroków — olbrzymie leje po bombach, rozbite działa, spalone czołgi niemieckie i nasze, rozrzucona amunicja, gdzieniegdzie szczątki strąconego samolotu. Jeszcze straszniejszy przedstawiają widok gruzy wsi i miasteczek. Resztki sprzętów przemieszane z kamieniami i cegłą, kratery wypełnione cuchnącą zieloną wodą, opuchnięte kadłuby zabitych krów i koni.

Do tej pory na tym straszliwym polu bitwy można jeszcze spotkać niepogrzebane zwłoki ludzkie. Wszędzie są pola minowe. Jeśli akurat trupy leżą na nieoczyszczonym z min terenie nikt, kto nie posiada pod ręką wykrywacza — nie chce ryzykować swego życia. Zresztą wszyscy się śpieszą. Front posuwa się naprzód milowymi krokami. Amunicja, woda, żywność, cysterny benzyny mają pierwszeństwo. Gdzieś tam z tyłu idą wolno oddziały pionierów. Oni doprowadzą zdobyte tereny do porządku.

W tumanach kurzu migają białe paski i rękawice żołnierzy regulacji ruchu. Ciężka to praca. Trzeba likwidować zapory, kierować tysiące samochodów w różnych kierunkach, odpowiadać nieustannie na setki pytań.

Na południowy wschód od Falaise pracuje już polska regulacja ruchu. Strzałki ze znakiem Dywizji zaprowadzą nas do rzutu operacyjnego, albo i jeszcze dalej — do pierwszych linii. Pojęcie "pierwszej linii" jest zresztą obecnie rzeczą względną. Nieraz czołgi są daleko na przodzie, a piechota dywizyjna likwiduje na tyłach gniazda oporu niemieckiego i wyłapuje *sniperów*. Zdarza się nawet czasami, że ta "likwidacja" odbywa się bez zbytecznego pośpiechu. Wygłodzeni Niemcy po kilku godzinach oczekiwania sami wyłażą ze swoich kryjówek i z radością idą do niewoli, gdzie na pewno dostaną wodę i jedzenie.

Przez mosty zbudowane przez polskich saperów na rzece Dives pędzą pojazdy. Zatrzymujemy nasz *jeep* na wzgórzu i z radością wciągamy świeże powietrze w płuca. Zieleń! Trawa! Cudowna dolina rzeki wydaje się ziemią obiecaną po księżycowym krajobrazie "drogi do Falaise".

Tam właśnie wita nas po raz pierwszy ludność francuska. W Jort, Louvagny, Barou i dalej wszędzie są tłumy, wszędzie panuje entuzjazm. Drogami ciągną dwukołowe wózki, wyładowane domowymi sprzętami, dorośli i dzieci podnoszą ręce na nasz widok, wszędzie są uśmiechy. Nad wózkami powiewają białe flagi: to znak dla Polaków. Nie strzelać! Swoi idą przez front.

W tej ogólnej radości i powitaniach zapomina się nieomal o straszliwej nędzy i cierpieniach, które ta ludność przeszła. A przecież . . . wypędzali Niemcy z domów całe wsie i miasteczka, "oczyszczając" teren frontowy. Powstałe zatory na drogach likwidowano po niemiecku — przy pomocy karabinów maszynowych. Tysiące, dziesiątki tysięcy ludzi bezdomnych błąkało się po terenie przyfrontowym, niejednokrotnie pod ogniem artylerii, często pod bombami samolotów alianckich. Bez jedzenia, z małymi dziećmi — koczowali po lasach, nieustannie prześladowani i przepędzani. Uciekający Niemcy zabrali wiele wózków i koni, zrzucając bez dyskusji rzeczy wygnańców. Kula rewolwerowa była odpowiedzią na każde słowo protestu.

Bezdomni — ale już szczęśliwi, wycieńczeni z głodu — ale uśmiechnięci Francuzi, z tak bardzo francuskim ożywieniem i bezpośredniością opowiadają nam jeden przez drugiego "jak to było".

Jak to było, gdy Niemcy wypędzili mieszkańców z przedmieść Caen, a potem strzelali do nich na szosie, jak to słuchali od lat radia po nocach, jak rozpoznawali samoloty Sprzymierzonych, jak było ciężko z jedzeniem, jak zapomnieli smak cukru, kawy i herbaty, jak dawno nikt z nich nie nosił skórzanych butów, ale tylko ohydne drewniaki, jak to było wreszcie, kiedy Niemcy zaczęli uciekać przez lasy, a potem pędziły czołgi, straszny był huk, straszna była bitwa — i okazało się — —

—*Polonais! Polonais! Polonais! Vous! Nos libérateurs!*

Z tłumu przeciska się jakiś obdartus. Jest bez butów, prawy rękaw od marynarki oberwany, twarz zarośnięta. Na klapie zniszczonej marynarki widnieje baretka *"Croix de Guerre"*.

—Służyłem w polskim wojsku — krzyczy z daleka. Mam "Virtuti Militari".

—Polak? — pytamy.

—Nie, jestem Francuzem. Ale byłem w armii Hallera. — Tu zaczyna wymieniać nazwy pułków, nazwiska, przypomina sobie jakieś polskie słowa. Ściska nam ręce. Głos mu drży ze wzruszenia.

Pytamy, czy jest głodny. Wzbrania się wziąć cokolwiek, głód jednak zwycięża. Wyciąga łapczywie rękę po dużą porcję białego chleba z *"corned beef'em"*. Siada na ziemi przy samochodzie i nieomal połyka chleb. W pewnym momencie zaczyna płakać. Łzy leją się ciurkiem na chleb, spływają po brudnych rękach.

—*Boche! Boche!* — powtarza. — *Salaud!*

Jakaś cicha tragedia jednego z tysięcy nieszczęśliwych. Zostawiamy go przy drodze bez dalszych pytań.

Mijają nas wozy polskich kolumn zaopatrzenia, jadące do magazynów, na dalekie tyły frontu. W polskich ciężarówkach pełno pasażerów; jakieś babiny z tobołkami pozbierane po drodze, dzieci, nawet psy i koty.

Patrzę na to i myślę, że cholernie miękkie są te polskie serca. Trzeba samemu zaznać wiele biedy i nieszczęścia, żeby tak współczuć innym. A współczucie naszych żołnierzy nie ma nieomal granic. Wielu z nich siedzi na froncie bez papierosów, bo wszystkie pooddawali Francuzom. Wszystkie racje czekolady i cukierków zostały rozdane dzieciom. Jakaś kompania odnalazła na drogach kilka polskich rodzin emigrantów. W kilka minut zaopatrzono Polaków w cały worek żywności. Na próżno kucharz protestował, że będą bez obiadu i kolacji. Oddali i koniec.

Tak samo jest z jeńcami: przed rozpoczęciem działań wojennych w sercu każdego Polaka zdawała się siedzieć jakaś straszliwa, bezlitosna bestia. W rzeczywistości żaden nie odmówi łyka wody z manierki lub papierosa. Niejedna paczka biscuitów powędrowała już do rąk niemieckich.

Wśród jeńców obraz nędzy i rozpaczy przedstawiają właśnie Rosjanie, których Niemcy traktowali w wojsku jako podrzędniejszy gatunek ludzi . . . Widziałem ich w przejściowym polskim obozie jenieckim. Zbici w kupkę siedzieli apatycznie na trawie, dalecy od rozgrywających się wokół nich wydarzeń. Ludzie-automaty. Bezwolni, nieufni. Z Kazakstanu, z Nowosybirska, Irkucka . . .

Żaden z nich w zasadzie nie jest zdolny wyobrazić sobie swojej przyszłości. Opanowani uczuciem rezygnacji, reagują jedynie na słowa "rodzina" i "dzieci". W sercach ich budzi się podświadome, bolesne uczucie rozłąki na zawsze. Tragiczni rozbitkowie drugiej wojny!

W tym samym obozie znaleźliśmy również oficerów niemieckich, w tym jednego pułkownika w pełnej gali bojowych odznaczeń, z przysłowiowym monoklem w oku. Stał dumnie wyprostowany, obrzucając pogardliwym wzrokiem grupkę jeńców. Został on bardzo upokorzony w swej dumie gdy na oczach wszystkich musiał pokazać polskiemu oficerowi całą zawartość swoich kieszeni, oddać dokumenty i wyjmować po kolei wszystkie rzeczy z walizki. Zapytał, czy może to zrobić jego szofer. Uprzejmie lecz stanowczo poproszono go, aby otworzył walizkę sam. Uczynił to z bolesnym grymasem na twarzy. Pozostali oficerowie, czekając na swoją kolej, udawali, że tego nie widzą. Jeden zaczął nawet czytać książkę.

Coś błysnęło w ręku oficera, gdy wyjął jakieś drobiazgi z kieszeni. Był to odpięty od munduru, krzyż za kampanię w Polsce. Na jednym z ramion krzyża srebrzyła się data "1939". Zwrócono mu ten krzyż bez słowa. Siedząc na trawie w polskim obozie jeńców miał dużo czasu do smętnych rozmyślań na temat zmiennych losów wojny . . . .

Pojechaliśmy dalej, oglądając po drodze rozbite stanowiska obronne Niemców. Moich towarzyszy ogarnęło gorące pragnienie znalezienia rewolweru niemieckiego. Wogóle niemiecki rewolwer jest *"hobby"*. wszystkich, aczkolwiek nie jest lepszy od brytyjskich i amerykańskich. Wszystko wskazywało na to, że znajdziemy ten rewolwer w rozbitym niemieckim samochodzie pancernym, na próżno jednak przeszukiwaliśmy wszystkie schowki i skrytki; znaleźliśmy magazyn z nabojami, skórzaną pochwę, dwa hełmy, karabin, kilka rakiet, dziesięć granatów, i pudełko norweskiego chleba. Rewolweru nie było! Zabraliśmy wobec tego chleb.

Wyciągnęliśmy termosy i przegryzając norweskim chlebem zaczęliśmy pić herbatę. Opodal nas znajdowało się niemieckie działo przeciwpancerne, które oglądali jacyś dwaj żołnierze kanadyjscy. Mieli większe szczęście. Śmiejąc się pokazali nam dwa rewolwery niemieckie i odjechali zadowoleni. Nie muszę chyba opisywać zawiedzionych min moich kolegów.

"Łup wojenny" na froncie jest wielką atrakcją. Niejeden z naszych żołnierzy ma już piękną lornetkę, nie mówiąc o rewolwerach. Nam niektórzy ofiarowali różne rzeczy: polową lunetę, niemiecki karabin maszynowy, t.zw. *"Spandau"* i kolekcję pornograficznych fotografii, kupionych przez jakiegoś Niemca w Paryżu. Luneta i karabin maszynowy były stanowczo za ciężkie. Odmówiliśmy również przyjęcia prezentu w postaci sześciu sprzężonych moździerzy z doskonałym podobno celownikiem.

Do obozu korespondentów wojennych wracaliśmy przez Caen. Obóz ten leży już za daleko od frontu i w najbliższej przyszłości będzie przeniesiony. Na razie jednak trzeba odbywać wielomilowe podróże, które nie należą do najprzyjemniejszych. Zwłaszcza przejazd przez Caen jest przykry: to zrujnowane i wymarłe miasto sprawia wrażenie olbrzymiego grobu.

Do niedawna Caen, a raczej, gruzy Caen drżały od nieustannego huku ciężkich dział. Dziś w Caen panuje cisza. Baterie przesunięto na południe.

W ciszy letniego wieczoru Caen wydało mi się inne. W parku bezlistnych drzew, zmienionym na cmentarz, gdzie co krok bielą się krzyże — dźwięczały wesołe głosy, dawał się słyszeć stłumiony śmiech. Jechaliśmy wolno *jeepem* przez mrok strasznego miasta.

Francuzki w białych bluzkach tuliły się do żołnierzy. Te białe bluzki i jasne sukienki Francuzek są szczególnym kontrastem w mieście, gdzie pył zrujnowanych domów pokrywa wszystko czarnoszarym dywanem. A jednak . . .

I tu zabłąkał się uśmiech. Płynął wśród szeptu wyznań, wśród miłosnych uścisków niepomny na dzień wczorajszy, niepomny na wieczysty sen ludzi, których dotąd jeszcze nie odgrzebano spod gruzów.

Czyżby to był uśmiech Francji? Czy też jest to po prostu uśmiech mój i twój, uśmiech nas wszystkich, radosny uśmiech życia na przekór wojnie i śmierci?

Nie wiem.

RYSZARD KIERSNOWSKI

Jeńcy niemieccy wzięci do niewoli przez żołnierzy I Dywizji



Ś.p. ppor. art. Wacław Morawski

Doszła do nas wiadomość o śmierci ppor. Wacława Morawskiego na polu walki w Normandii. Cała służba opieki nad żołnierzem bardzo odczuwa tę stratę. Tracimy w Nim piękny wzór oficera opieki, tracimy w Nim jasną sylwetkę Polaka, żołnierza i człowieka. Z wiarą w ideały najwyższej próby, z gorącą wiarą w Polskę i Jej odrodzenie — tak jak żył, tak oddał swe młode życie.

Wielu spośród nas spotkało w swej pracy ś.p. ppor. Morawskiego. Na pewno każdy, kto Go poznał lepiej lub kto nawet tylko rozmawiał z Nim, musiał odczuć Jego swoisty urok oraz nieprzeciętną odrębność Jego umysłu i duszy. Inteligentny, rozsądny i rozumny ponad wiek, pełen zapału do pracy kulturalno-oświatowej — ppor. Morawski był jednym z tych synów Polski, którzy imieniu Jej nigdy ujmy nie przynieśli, a zawsze służyli Jej wiernie i ofiarnie. Miał to zapewne w tradycji rodzinnej, tradycji ziemiańskiego domu kresowego, tradycji szlacheckiej i rycerskiej. Z domu rodzinnego zapewne też wyniósł tę piękną starą kulturę, ten szczery, naturalny demokratyzm, oraz właściwe Mu ludzkie i życzliwe podejście do każdego człowieka — to wszystko co zyskiwało Mu sympatię i uznanie ze strony przełożonych, kolegów i podwładnych.

Śmierć na polu walki jest bezwzględna, jednakowo wyrywa z szeregów młodych i starych, pułkowników i szeregowców, ludzi najlepszych i przeciętnych. Towarzysz to nieodłączny żołnierza. Dziś upodobała sobie ppor. Morawskiego.

Żegnamy Cię na zawsze, kochany, zacny kolego! Bóg da, że ofiara Twego młodego życia nie pójdzie na marne, że przecież zaważy gdzieś na szali wyroków Boskich i razem z setkami tysięcy innych żyć polskich sprawi, że odzyskamy Wolność i Niepodległość, jak tego gorąco pragnąłeś. Nie odchodzisz od nas zupełnie, bo zostawiasz nam przykład — jak Polsce służyć trzeba, jak ofiarnie pracować należy, jak wyznawać najwyższe idee. Zostawiasz wśród tych, co Cię znali i co Cię kochali żal i ból, ale zostawiasz i wiarę w jasną przyszłość, bo nie może wszak zginąć Kraj i Naród, co takich synów z siebie wydał.

Niech Ci ziemia Francji lekką będzie!

Żegnaj, drogi i zacny chłopcze! Żegnaj, kochany kolego, żegnaj prawy żołnierzu!

SZEF WYDZIAŁU PRAC KULTURALNO-OŚWIATOWYCH M.O.N.

Sprawy polskie w książkach angielskich

UCIECZKA HENRYKA WALEZJUSZA

W świetnej monografii Ronsarda, D. B. Wyndham Lewis* — w związku z opisem stosunków na dworze andegaweńskim — poświęca kilka stron awanturze polskiej Henryka Walezjusza. Wybór Henryka na króla Polski uważa autor za dalszą próbę w ulubionym polskim systemie rządzenia, który z dzisiejszego punktu widzenia jest bezsprzecznie "demokracją z natchnienia". Śmierć Zygmunta Augusta, ostatniego z dynastii jagiellońskiej, która zapewniła Polsce złoty wiek rządów liberalnych /przy czym słowo "liberalny" — zaznacza Wyndham Lewis — należy brać w jego szlachetniejszym sensie/, umożliwiła Polsce, do tego czasu rzeczypospolitej pod rządami królów dziedzicznych, przejście do ustroju, opartego na królach elekcyjnych. *Pacta conventa* z Henrykiem Walezjuszem są interesujące. Król musiał m.in. zaprzysiąc, że nie wypowie wojny bez zgody sejmu i że będzie wierny zasadom tolerancji religijnej, dzięki której Polska, "naród, przedtem jak obecnie, najgorliwiej katolicki, zasłynęła jako azylum heretyków, "*Asilum Hereticorum*", gdy otworzyła granice dla wygnanych przedstawicieli wszystkich sekt i zapewniła im całkowitą wolność, podobnie jak Żydom". *Pacta conventa*, które nie bardzo harmonizowały z pojęciem królewskości, nie musiały iść w smak kapryśnemu egotyście, jakim był Henryk Walezjusz. Zgodził się na nie zapewne nie bez wahań i protestów, pod naciskiem swojej despotycznej matki Katarzyny Medicis, odrzucając tylko klauzulę o małżeństwie ze starszą od niego o lat dwadzieścia siostrą Zygmunta Augusta.

Tak więc — ciągnie Wyndham Lewis — z niechęcią udawał się Henryk Walezjusz na najbardziej zakazane pustkowie. Ale wbrew opinii poety francuskiego Philippe'a Desportes, Walezjuszowego kompana i wesołka, który towarzyszył mu w podróży po koronę, nie było to znowu takie pustkowie. Odrodzenie ogarnęło Polskę, Kraków rozwijał się architektonicznie i umysłowo. Kopernik zrewolucjonizował astronomię, nowinki kwitły /mimo że uniwersytet krakowski, jeden z najstarszych w Europie, podobnie zresztą jak Sorbona, przez pewien czas się im przeciwstawiał/, a poeci, jak Krzycki, Janicki, Dantyszek, nade wszystko zaś Kochanowski, nie dali się nikomu w Europie prześcignąć w znajomości łaciny. Kochanowski, nazywany Ronsardem Polski i jeden z najgorętszych entuzjastów Ronsarda, musiał się przyglądać wymuskanemu Desportes'owi z małą życzliwością. Wkrótce nadarzyła się okazja do przetrzepania go po palcach, ku uciesze Europy.

Rzecz prosta, że ani Kraków, ani Warszawa nie zasługiwały w owych czasach na przezwisko drugiego Paryża i nie mogły przypaść do gustu rozpieszczonym francuskim dandysom. Ówczesna Polska — błota, lasy, zaniedbane drogi, nędzne wsie i miasta, na pół barbarzyński wygląd chłopów, Żydzi, kolekcja heretyków /*assorted heretics*/ musiała przyprawiać Francuzów o dreszcze. Desportes — można niemal słyszeć jego protesty, wydziwiania i wykrzywiania się, "niczym małpy na wietrze wschodnim" — zapewne wcześnie zaczął lżyć Polaków jako nędzarzy, barbarzyńców, pyszałków i pleciugi. Na razie — z rozkazu króla — milczał, notował i przetwarzał swoje wrażenia na wytworne sonety satyryczne.

Także entuzjazm Polaków zmniejszył się po przybyciu króla. Pobłażliwa uprzejmość Henryka i jego świty, próba zaszczepienia na Wawelu sodomskich obyczajów /Wyndham Lewis poprzednio już zaznacza, że obecność ambasadorów Sodomy i Gomory oraz ministra pełnomocnego Lesbos na francuskim dworze Henryka III nie mogłyby się wydawać rzeczą dziwaczną/, demonstracyjnie objawiane przez nowego monarchę znudzenie wielogodzinnymi obradami sejmu — wszystko to w krótkim czasie przekonało Polaków, że z "europejskiej talii" nie najlepszą wyciągnęli kartę.

Autor daje z kolei malowniczy opis ucieczki Walezjusza na wieść o śmierci Karola IX; cytuje wiersz Desportes'a "*Adieu, Pologne . . .*" i tak kończy: "Najbardziej obelżywy, nieszlachetny exit, niegodny Walezjusza i na pewno nie charakterystyczny dla Henryka Andegaweńczyka, któremu nie brakło ani wdzięku ani wychowania. Słuszny gniew i wzgardę Polaków ukazał umiejętnie światu Jan Kochanowski, który pozostał łatwym zwycięzcą w wynikłym stąd pojedynku poetyckim z Desportes'em; do satyrycznej "*De Electione, Coronazione et Fuga Galli*" /"O elekcji, koronacji i ucieczce Francuza"/ niewiele dałoby się dodać. W najbliższym roku mądrzejszy sejm obrał królem Stefana Batorego, księcia siedmiogrodzkiego; rzucił on Iwana Groźnego na kolana i byłby zdruzgotał Moskwicina o kamiennym sercu gdyby nie interwencja papieża. Nieco później Polska, stałe przedmurze chrześcijaństwa, uratowała Europę, pod Sobieskim, przed Turkami; w trzysta lat później, pod Piłsudskim, przed bolszewikami. *Stabat et stabit*".

* *Ronsard. By D. B. Wyndham Lewis. Londyn, Sheed and Ward,* 1944; *str. XI i* 1*nl. i* 340 *i tabl.* 6.

NAPOLEON A ODBUDOWA POLSKI

Znany historyk angielski, autor licznych studiów z zakresu dyplomacji, G. P. Gooch, w tomie szkiców "*Courts and Cabinets*"* poświęca dwa rozdziały omówieniu pamiętników Caulaincourta, których ogłoszenie w r. 1933 uznaje za ostatnie wybitne zdarzenie w dziedzinie badań nad epoką napoleońską. W rozdziale "Caulaincourt, Napoleon and Alexander" Gooch przytacza fragmenty rozmowy Napoleona z Caulaincourtem na wiosnę r. 1811, po powrocie Caulaincourta z Petersburga, po czteroletnim ambasadorowaniu przy dworze tamtejszym.

W tej rozmowie Caulaincourt nakłania cesarza do usunięcia wojsk z Prus i z Gdańska, gdyż Rosja czuje się nimi zagrożona, dodając, że oczywiście jeśli cesarz zamierza odbudować Polskę — co pozostawałoby w sprzeczności z sojuszem z Rosją — uwagi jego są zbyteczne. Napoleon odpowiada, że nie zamierza odbudować Polski, i w kilka chwil potem zapewnienie to jeszcze raz powtarza. Jeśli tak — odpowiada Caulaincourt — niezrozumiałe jest, dlaczego cesarz chce narazić sojusz z Rosją i dlaczego wojska francuskie mają pozostawać w Prusach i w Gdańsku.

Po przegranej kampanii rosyjskiej, w czasie powrotu przez Księstwo Warszawskie Napoleon wyraża przekonanie, że nie wszystko stracone: jeśli Polacy chcą na nowo być narodem, zdobędą się na powstanie "*en masse*", a on ich uzbroi; jeżeli nie zechcą, można będzie przestać się z nimi liczyć a porozumienie z Rosją nie będzie przedstawiało trudności.

* *Courts and Cabinets. By G. P. Gooch, D.Litt., F.B.A., author of "History of Modern Europe,* 1878–1919," *"Studies in Diplomacy and Statecraft," etc. Londyn, Longmans, Green,* 1944; *str.* 323 *i* 1*nl.*

POLITYKA ZAGRANICZNA WIELKIEJ BRYTANII A POLSKA

"Honor jest żywotnym czynnikiem w polityce zagranicznej" — pisze znany polityk angielski, brat obecnego ministra wojny, Sir Edward Grigg, w książce "*British Foreign Policy*".* "Mówimy o "honorowaniu naszych zobowiązań". Nie ma żadnej kwestii, że parlament i naród zawsze tego pragną". Ale mimo najlepszej woli, nie zawsze się to udaje. Zdarza się bowiem, że zaciąga się zobowiązania, przekraczające środki, które mamy do rozporządzenia. W "posępny sposób /*luridly*/" ujawniło się to na przykładzie gwarancyj udzielonych na wiosnę 1939 r. Polsce i Rumunii. Stąd wniosek, że należy zaciągać tylko takie zobowiązania, które można wykonać, i że należy powstrzymać się od "moralnego potępienia", o ile nie jesteśmy przygotowani do podjęcia akcji, gdy to moralne potępienie nie odniesie skutku. Tak więc n.p. nie należało potępiać Rosji za wojnę przeciw Finlandii w zimie 1939-1940: "wprowadziliśmy w błąd dzielny /*brave*/ naród fiński, który odpowiedział na nasze słowa otuchy i od którego nie należy oczekiwać uznania dla zmiany tonu, jaka potem nastąpiła".

Grigg cytuje sceptyczne słowa Churchilla z dn. 19 maja 1939 r. na temat gwarancji udzielonej Polsce bez zapewnienia sobie możności wprowadzenia jej w życie, co więcej, dodaje że bez wojskowego poparcia Rosji, była ona całkowicie bez wartości. Z chwilą podpisania rosyjsko-niemieckiego paktu o nieagresji z sierpnia 1939 r. gwarancja straciła nawet swą wartość "odstraszającą".

Grigg usiłuje usprawiedliwić ówczesną politykę Stalina jego brakiem zaufania do mocarstw zachodnich i obawą że Monachium może się powtórzyć. Ale nawet, pomijając tę obawę, sojusz wojskowy z mocarstwami zachodnimi na jesieni r. 1939 był z wielu względów niebezpieczny dla Rosji: nie wiadomo n.p. — pisze Grigg — jak zachowałaby się Polska, gdyby Niemcy oświadczyły, że ich głównym celem jest zniszczenie Sowietów. Stalinowi chodziło przede wszystkim o bezpieczeństwo Rosji, a przez porozumienie z Hitlerem zyskiwał na czasie. Zajęcie wschodniej Polski było zabezpieczeniem strategicznym, nie odbyło się kosztem Polski, która — powalona przez Niemcy — przestała istnieć jako państwo niepodległe. Zapobieżenie wchłonięciu całej Polski przez Niemcy oddaliło armię niemiecką od Moskwy o dwieście mil; ten zysk dwustu mil, być może, ocalił później stolicę Rosji.

Możnaby wprawdzie odpowiedzieć Griggowi, że jeśli udział w rozbiorze Polski oddalił armię niemiecką o dwieście mil od Moskwy, brak zgody na rozbiór Polski mógł utrzymać armię niemiecką o dalsze czterysta mil od Moskwy, ale nie będziemy tu wdawali się w polemikę. Trudno natomiast nie zakwestionować porównania zajęcia wschodniej Polski przez Rosję z zajęciem francuskiej Afryki Północnej przez Wielką Brytanię i Stany Zjednoczone: ani Wielka Brytania ani Stany Zjednoczone nie oświadczyły przecież, że zamierzają francuską Afrykę Północną zachować w swym władaniu.

Nutą przewodnią książki Grigga jest konieczność utrzymania pełnego porozumienia z Rosją po zakończeniu wojny. Grigg ustawicznie przekonuje czytelników i siebie, że Rosja nie ma żadnej istotnej przyczyny, by okazać brak umiaru. Tak n.p. Rosjanie będą mieli ręce pełne roboty w domu, poza tym pozbawieni są zaborczości; nadto cechuje ich iście angielskie poczucie humoru i ludzkość. Dowód: w żadnym innym kraju "Klub Pickwicka" nie zdobył takiego jak w Rosji uznania i powodzenia.

Polska — mówi Grigg — musi jasno rozstrzygnąć, czy przyszłość jej polega na przyjaźni z Rosją, czy z Niemcami. W przeszłości miała ona "dostateczne powody /*good reasons*/" do odwlekania ostatecznej decyzji. Całkowicie wiarogodna osoba poinformowała Grigga, że Polska w r. 1933 proponowała wspólną akcję celem zapobieżenia remilitaryzacji Nadrenii; gdy nie spotkało się to z poparciem Wielkiej Brytanii i Francji, Piłsudski w następnym roku zawarł pakt o nieagresji z Niemcami /Grigg pomija milczeniem fakt, że jednocześnie zawarł pakt o nieagresji z Rosją/. Wybór ten był nieszczęśliwy, ponieważ Niemcy przygotowywały wojnę a Rosja chciała pokoju. Jeszcze bardziej nierozsądne było skorzystanie z okupacji Czechosłowacji przez Niemcy w r. 1939 w celu zagarnięcia terytorium dla siebie. /Rzecz prosta, chodzi nie o r. 1939, ale o jesień r. 1938./

Położenie Polski pomiędzy dwiema potęgami wojskowymi, jak Niemcy i Rosja, jest zawsze niepewne: żądanie Rosji, by Polska opowiedziała się za sojuszem z nią, nie da się zakwestionować. Co więcej, Rosja jest uprawniona do stworzenia pewnej sfery wpływów na swojej zachodniej granicy, choć nie może to zagrażać niepodległości mniejszych państw. Utrzymanie przez nie niepodległości jest tym bardziej konieczne, że cywilizacja rosyjska różni się od cywilizacji państw Europy środkowej i zachodniej /nawiasem mówiąc, związek Polski ze światem cywilizacji zachodniej podnosi Grigg wielokrotnie/ i narody, które mają szczytną przeszłość, narody które wiedzą co znaczy niepodległość, muszą mieć możność oddychania własnym powietrzem i kształtowania własnego sposobu życia "szczególnie tam, gdzie — jak na zachodniej granicy Rosji — różnice rasowe, religijne, historyczne i kulturalne nadają poczuciu narodowemu piętno szczególnie narzucające się i dobitne".

Przy tej zasadzie Wielka Brytania musi obstawać za wszelką cenę, inaczej sprzeniewierzyłaby się swej historii i przestałaby być jedynym ośrodkiem, dokoła którego może odrodzić się Europa zachodnia. Wielka Brytania musi być silna wojskowo i trzymać w szachu Niemcy: w przeciwnym wyjadku Rosja będzie zmuszona do zabezpieczenia swoich zachodnich granic poprzez przewagę wojskową nad swymi sąsiadami zachodnimi: z kolei doprowadzi to tych sąsiadów do rzucenia się w ramiona Niemiec, z którymi — jeśli chodzi o kulturę i sposób myślenia — mniej dzieli je niż z Rosją.

Grigg przewiduje, że Polska uzyska w rezultacie wojny część Prus Wschodnich i resztę Śląska.

W dodatku do książki znajdujemy fragment z przemówienia premiera Mikołajczyka, wygłoszonego dn. 3 maja b.r. w Central Hall, Westminster.

SCRUTATOR

* *British Foreign Policy. By Sir Edward Grigg, K.C.M.G., K.C.V.O., D.S.O., M.C., M.P. Londyn, Hutchinson,* /1944/; *str.* 192.

Skrzynka pocztowa

O POMOC DLA WARSZAWY

Do redakcji "Polski Walczącej",

Dziś, z wolnej, warszawskiej radiostacji "Błyskawica" padły słowa skargi, słowa, które możnych tego świata i wszystkich, którzy noszą w sobie choć najdrobniejszą cząsteczkę człowieczeństwa musiały poruszyć do głębi. Odbiły się one głęboko w sercach marynarzy polskich. Ci marynarze, którzy przeszli Dunkierkę, Lofoty, Dieppe, kampanię północno-afrykańską, Sycylię, Salerno, Dodekanezy, atak na "Fortecę Europejską", którzy do obecnej chwili dzień i noc są w akcji, ci marynarze, których nie przeraża krew własna ani wroga, dziś, słuchając słów umęczonej, samotnie, bez pomocy walczącej Warszawy — płakali!

Płacz ten, choć cichy, pozostawia w sercach słony osad. Paroksyzm bólu krzywi te serca i paczy, a z głębi nie może się wydostać inny głos ponad ten: "Pomóżcie Warszawie!" "Pomóżcie natychmiast!"

Żądamy tak mało, a za Ich i naszą krew przelaną, w imię Wolności mamy prawo żądać: "Pomóżcie Im!!!"

Skoro są możliwości nalotów na Tokio, skoro prasa i radio stale nam mówią: "Nie ma zakątka w Europie, gdzie by nie dotarły alianckie samoloty . . .", to czyż tym zakątkiem ma być Warszawa!? Krwawiąca samotnie cztery tygodnie!? Czyż postawa Ich i bohaterstwo, które napawa zdziwieniem nawet dzikich Hunów, nie może znaleźć należytego zrozumienia wśród narodów cywilizowanych? Jakie czynniki na to wpływają?

Czy my tu na pokładzie okrętu Rzeczypospolitej Polskiej możemy być spokojni? Czy możemy spokojnie iść na morze, skoro wiemy, że tam, na barykadach Warszawy giną w nierównej walce nasi najbliżsi? Giną samotni, opuszczeni przez świat! Wróg wykorzystuje to dla swoich celów.

Gorycz, straszna gorycz, która zatruwa serca, paraliżuje wolę i obezwładnia. Jesteśmy częścią Ich i tak jak oni trzymamy miecz zawsze gotowy do zadania ciosu. Dziś jednak ciskając się w bezsilności — płaczemy!

Świat powinien, świat musi to ocenić! Jest to głos z pierwszej linii frontu — głos Polskiego Okrętu!

Cześć Warszawie!

Na pokładzie O.R.P. "Błyskawica" 29 sierpnia 1944 r.

Mieczysław Tatarynowicz

GŁOS SYMPATII ANGIELSKIEJ

Dear Sir,

At one time Poland was just a place on the map, but since we have met some of its people we have learned to admire it.

We have entertained many in our home, and have been struck by their good manners, love of music, and little children. God grant your nation may soon recover its freedom.

Yours,

G. Hardwick

You may use this in your paper if you wish.

To the Polish Forces

To all you soldiers gathered here,
From Poland's far off land.
We welcome you to this canteen
With friendly helping hand.

You've sailed across the ocean wide,
With strangers here you roam.
But we will do the best we can
To make you feel at home.

When we but think of Poland's fate
Our hearts are very sore
To think of all your native land
So ravaged by the war.

Just as your ways are strange to us
So yours, to us appear.
Yet we as brothers all can stand
And share our hopes and fears.

Your great Vistula is made up
Of many varied streams
So Polish folks and Britishers
Can be as one in dreams.

In time the Warsaw bells will ring
As merry as can be;
And this the message of the chimes:
Our Poland now is free.

W SPRAWIE FOTOREPORTAŻU Z NORMANDII

Szanowny Panie Redaktorze,

Pisze do Panów ranny żołnierz 1. Dywizji Pancernej — lewą ręką. Z prawdziwą przyjemnością wzięliśmy dziś do rąk nr. 34 "Polski Walczącej" z dnia 26 b.m. Gazet polskich prawie nie można otrzymać, tym bardziej ucieszyły nas fotografie z terenu walk — radość ogromna. Cóż kiedy w fotoreportażu na str. 4 na zdjęciu, mającym przedstawiać zniszczony czołg niemiecki, figuruje nasz rodzony polski "Sherman"!

Albo kogoś strach obleciał i miast sfotografować rozbite "Tygrysy", które sam osobiście widziałem i których dotykałem — wolał skierować swój obiektyw na własny uszkodzony czołg, albo znajomość sprzętu nieprzyjacielskiego jest tak niewielka, albo pismo w gruncie rzeczy nie bardzo dba o to, co czytelnicy powiedzą na tego rodzaju lapsus. A jednak ci czytelnicy, to prawie wyłącznie żołnierze, którzy dość żywo i nieżyczliwie reagują na takie omyłki, jak podanie zdjęcia okrętu podwodnego, jako kontrtorpedowca, armatki ppanc., jako artylerii ciężkiej /wszystko to już było w naszych, czasem trochę niechlujnych gazetkach/ i t.p.

I jeszcze jedno: Polacy zniszczyli dość czołgów niemieckich, by nie potrzebować fotografować w ich miejsce własnych. I za naszą ciężką, możliwie odwaloną robotę, mamy prawo oczekiwać w fotoreportażach czegoś więcej, niż uśmiechnięte twarze generałów i — własne straty w czołgach typu "Sherman", do wrogich absolutnie niepodobnych.

Proszę przyjąć wyrazy prawdziwego szacunku.

Michał Zawadzki

Poradnik żołnierski

"*Africa Star*" — Prosi Pan o wyjaśnienie w sprawie odznaki "*Africa Star*": komu ona przysługuje i czy mogą się o nią ubiegać Polacy.

Rozumiemy, że chodzi Panu o tych żołnierzy Polaków, którzy brali udział w kampanii afrykańskiej, a więc obrońców Tobruku, czyli żołnierzy Brygady Karpackiej.

Sprawa tego odznaczenia jest wielce skomplikowana. W zasadzie "*Africa Star*" była przewidziana dla uczestników kampanii afrykańskiej, wchodzących w skład jednostek brytyjskich, imperialnych i kolonialnych. Jest tam sporo zastrzeżeń, m.in. takie, że nie można otrzymać "*Africa Star*", jeśli się ma inne odznaczenie, choćby innego państwa, za jakiś wyczyn w tej samej kampanii.

Sprawa przyznawania odznaczenia "*Africa Star*", względnie ścisłego ustalenia komu może przysługiwać lub też kto może się o nie ubiegać — wywołała szereg wątpliwości nie tylko u nas i u innych rządów państw sprzymierzonych, lecz także w rządzie angielskim. Wobec tych wątpliwości, rząd angielski wystosował do rządu polskiego memoriał w tej sprawie, który jest przedmiotem studiów. Nie należy oczekiwać rychłego jej rozstrzygnięcia.

Dla Polaków w Rosji: £11,120

Dla uczczenia pamięci poległego na polu chwały we Francji ppor. Wacława Morawskiego, z którym łączyły nas serdeczne więzy przyjaźni i współpracy, przekazujemy £2 na "Pomoc dla Polaków w Rosji".

Czołówka Teatralna "Lwowską Fala"

* * *

Przesłane przez bomb. Eugeniusza Prz. 5 sh. na koszta przesyłki kilku numerów "Polski Walczącej" redakcja przeznacza na Pomoc dla Polaków w Rosji.

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £2.5.0 /słownie: dwa funty, pięć szylingów/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £11,120.4.6 /słownie: jedenaście tysięcy sto dwadzieścia funtów, cztery szylingi i 6d./, 28 dolarów kanadyjskich, 108 pesetów hiszpańskich, 5,50 dolarów amerykańskich, 15 czerwieńców 100 milrejsów brazylijskich.

Na "paczki od serca": £3,683

Załączam Money Order na sumę £1 z prośbą o przekazanie na "Paczki od serca".

st. dragon

* * *

Przesyłam bezimiennie £1 /jeden funt/ na paczkę dla jeńców polskich w Niemczech.

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £2 /słownie: dwa funty/ przekazaliśmy Sekcji Pomocy Polskim Jeńcom Wojennym Stowarzyszenia Służby Społecznej Kobiet.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £3,683.6.8 /słownie: trzy tysiące sześćset osiemdziesiąt trzy funty, sześć szylingów i 8d./, 50 milrejsów brazylijskich i 3 dolary amerykańskie.

NA SZPITAL IM. GEN. SIKORSKIEGO

Przesyłając za pośrednictwem "Polski Walczącej" 5 szylingów na szpital im. gen. Sikorskiego, zapraszam do składki: Lenkiewicza Norberta, Sznikta Józefa i Straucha Franciszka z dalszym przekazaniem łańcucha składek na ten cel następnym kolegom.

Józef S. pch. R.A.F.

NA WDOWY I SIEROTY PO POLEGŁYCH ŻOŁNIERZACH 14. WIELKOPOLSKIEJ DYWIZJI PIECHOTY

Redakcja "Polski Walczącej",

W załączeniu przesyłam P.O. na sh.4 z przeznaczeniem na wdowy i sieroty po żołnierzach b. 14 D.P. Wielkp.

W.J. Student Wielkopolanin

Zbiórka książek

Redakcja "Polski Walczącej",

W załączeniu przesyłam kilkanaście książek dla Polaków na Wschodzie.

Wiktor Bielski

Załączone: H. G. Wells: "Crux Ansata", C. E. M. Joad: "Guide to Modern Thought", MacCallum: "Nauka angielskiego", K. Podgórski: "W cieniu skrzydeł", K. Wierzyński: "Ziemia-Wilczyca", Z. Nowakowski: "Przylądek Dobrej Nadzieji", R. Vansittart: "Czarny Rejestr", M. Hemar: "Adolf Wielki", S. Majewski: "Jedenasty Pancerny", W. Broniewski: "Bagnet na broń", S. Baliński: "Tamten brzeg nocy", R. Umiastowski: "12 mil do Warszawy . . . 30 mil do Paryża", K. Pruszyński: "Księga ponurych niedopowiedzeń", B. Prus: "Omyłka", A. Fiedler: "Ryby śpiewają w Ukajali", S. Strzetelski: "Goering poluje na rysie", I. Matuszewski: "O co walczymy", "Pomniki literatury ojczystej" /2 egz./. J. Pietrkiewicz: "Znaki na niebie" i 1 egzemplarz "Co słychać".

DO WSZYSTKICH RANNYCH ŻOŁNIERZY POLSKICH PRZEBYWAJĄCYCH W SZPITALACH NA TERENIE W. BRYTANII

Celem stworzenia możliwości dla rychłego doręczania poczty i wszelkich przesyłek prywatnych rannym żołnierzom, którzy przebywają obecnie w różnych szpitalach brytyjskich i polskich na terenie Wielkiej Brytanii, każdy zainteresowany żołnierz winien niewłocznie przesłać obecny swój adres do Biura Opieki nad Żołnierzem — referat pocztowy M.O.N. Adresować należy do: Postal Officer Polish H.Q. Vandon House, Vandon Street, London, S.W.1. podając czytelnie: stopień, imię i nazwisko, nazwę i miejsce szpitala oraz ewentualny Nr. poczty polowej.

Należy również podawać każdorazowo zmianę miejsca pobytu.

Na pomoc Warszawie

c/o The Editor of Weekly "Fighting Poland",
5, Portugal Str., London, W.C.2.

Dear Sir,

Three children aged nine: Shirley Walton, Mavis Owen and Kathleen Bullen gave a Garden Party, and the proceeds, £3.5.0, they would like you to accept for your funds.

The children say that in this way they would like to help in the relief of Warsaw, which we hope will be soon.

Enclosed are postal orders for £3.5.0.

Yours faithfully,
H. Walton /Mrs./
on behalf of the children

Szanowny Panie Redaktorze,

Przesyłam bezimiennie M.O. na £5 /pięć funtów/ na pomoc dzieciom w Pruszkowie.

Z poważaniem

N.P.

* * *

Szanowny Panie Redaktorze,

W załączeniu przesyłam kwotę 10 szylingów /dziesięć/ zebraną przez Miss Jean Scott, Post Office, Kingskettee, Fife.

Kwotę powyższą proszę przekazać na Polski Czerwony Krzyż — pomoc Warszawie.

Z poważaniem

J. Karaś

Polish Children Rescue Fund

Redakcja "Polski Walczącej",

W załączeniu przesyłam M.O. na sumę £7 sh.8 d.6 i proszę uprzejmie o przekazanie tych pieniędzy do Funduszu Ratowania Dzieci Polskich. Jest to dochód ze Szwalni prowadzonej w Świetlicy przez polskie ochotniczki W.A.A.F. w Szkole Pilotażu Podstawowego.

Z poważaniem

Świetliczarka J.N.

* * *

Szanowny Panie Redaktorze,

Zwracam się do pana Redaktora z prośbą o łaskawe przyjęcie kwoty pieniężnej w wysokości £1 jako zysk ze sprzedaży aparatu fotograficznego. Kwotę tę pragnę złożyć na Fundusz Pomocy Dzieciom Polskim.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku

K. Andrzej

* * *

W załączeniu przesyłam kwotę £3 /słownie: trzech funtów/ złożoną przez grupę małoletnich lotnictwa z Cr. obozujących w Ha. w sierpniu b.r. na Polish Children Rescue Fund.

świetliczarka Irma P.

* * *

Redakcja "Polski Walczącej",

Zamiast "lampki wina" w dniu imienin przekazuję 2 funty na pomoc dla biednych dzieci polskich.

inż. Stefan W.

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £13.8.6 /słownie: trzynaście funtów, osiem szylingów i 6d./ przekazaliśmy do Polish Children Rescue Fund.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £578.6.6 /słownie: pięćset siedemdziesiąt osiem funtów, sześć szylingów i 6d./.

WERINAJSEK

. . . ŚMIEJMY SIĘ — BO KTO WIE CZY WOJNA POTRWA TRZY TYGODNIE . . .

MAŁY ŻOŁNIERZ



Mały Szkot: — Panie Polak, jak pan chce z nami chodzić na spacery, to musi się pan nauczyć chodzić! Niech pan zmieni krok, bo . . . wysiadam z koszyka! . . .

Nieoficjalnie mówi się, że generał Maczek otrzymał przydomek — generał Maczuga-Maczek.

* * *

Mówią, że hasłem I. Dywizji Pancernej pod Falaise było zawołanie w stronę Niemców: "Wskocz do worka" . . .

TEMATY WOJSKOWE WŚRÓD PAŃ

—Co pani mówi, to ten pułkownik od spadochroniarzy został generałem . . .

—Ale chyba nie czasu wojny?

—Wszystko możliwe, przecież on był oficerem zawodowym . . .

ZNAWCA JĘZYKA



—Co wy robicie?

—Dekoruję wejście na przyjazd ochotników.

—Ilu ich przyjeżdża?

—Jeden.

—To dlaczego piszecie w liczbie mnogiej?

—Bo to po „wojskowemu" — przez "wy" . . .

FRASZKI NORMANDZKIE

PRZEWAGA LOTNICZA

Kiedy wsparcie lotnicze nastąpiło znowu
pewien żołnierz aliancki — hyc, skoczył do rowu,
spojrzał w górę i spytał z niepokojem szczerym:
"Is your bombing really very necessary?!"

TRUP W REDAKCJI

Raz "Dziennika Żołnierza" na kółkach chałupa
stanęła tam, gdzie właśnie było m.p. trupa.
Redakcji na wspomnienie wilgotnieją oczy.
Poczciwy trup! On jeden na "Dziennik" nie psioczył!

WOREK

Workiem zwali Polacy pułapkę pod Falaise.
Anglik nazwał ją — pocket. *Nie sprzeczam się wcale.*
Stosując różne nazwy, faktu się nie zmieni.
Więc Polak bił po worku, Anglik — po kieszeni.

GŁUPI KOTEK

Raz kocię, między jednym a drugim posysem
żaliło się swej mamie, że chce być tygrysem.
Rzekła mu na to kotka: "Skończ z tymi żalami!
Czy ty wiesz, co Polacy robią z Tygrysami?!"

OR-SI

RZECZY CIEKAWE, ZABAWNE I POŻYTECZNE

Czy wiecie . . .?

1/ Jak nazywały się poprzednio: a/ Iran, b/ Thailand, c/ Oslo?

2/ Jakie były nazwiska autorów pisujących pod pseudonimami: a/ Mark Twain, b/ Voltaire, c/ Boz, d/ Bolesław Prus?

/Odpowiedzi znajdują się na końcu tego kącika./

Facet ze stufuntową bombą pod pachą zajął miejsce w autobusie. — "Co Pan tutaj ma?" zapytał konduktor. — "To? To bomba z opóźnionym działaniem. Wiozę ją na policję". — "Ależ człowieku" — odrzekł konduktor — "przecież takiej rzeczy nie trzyma się pod pachą. Połóż ją pod siedzenie".

/d/

W barze pewnej kantyny oficerskiej w Stanach Zjednoczonych widnieje następujący napis: "Napoje alkoholowe nie będą pod żadnym warunkiem wydawane podpułkownikom lotnictwa /Air Corps Lieutenant-Colonels/ poniżej wieku lat 21, chyba że będą oni w towarzystwie rodziców".

/d/

Energiczny kupiec londyński, Anglik, właśnie zwolniony z wojska, przywykły do dużych interesów, który ma zamiar w najbliższym czasie przenieść się do Francji, pragnie objąć zastępstwo poważnej firmy brytyjskiej. /Ogłoszenie w "*Timesie*"/.

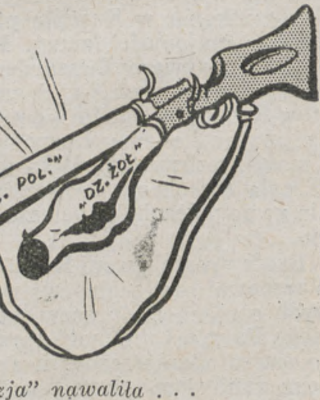
/d/

Odpowiedź: 1/ Persja, b/ Siam, c/ Christiania.

2/ a/ Samuel L. Clemens, b/ Francois Marie Arouet, c/ Karol Dickens, d/ Aleksander Głowacki.

/d/

PEWNE ECHA W PRASIE LONDYŃSKIEJ



"Fuzja" nawaliła . . .

Tekst i rysunki: **TONY**

DO RANNYCH Z FRANCJI

Klub Polskich Ziem Zachodnich zwraca się do wszystkich rannych członków Klubu, znajdujących się na terenie W. Brytanii o niezwłoczne podanie swych nazwisk i adresów pod adresem Klubu w Londynie: 45, Belgrave Sq., London, S.W.1.

SPIS RZECZY:

KURS KORESPONDENCYJNY

Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego w Londynie zawiadamia, że Kurs Korespondencyjny przedmiotów polskich, prowadzony przez Ośrodek Nauczania Korespondencyjnego w Glasgowie, wznawia swą działalność po wakacjach w drugiej połowie września b.r.

Kurs jest w pierwszym rzędzie przeznaczony dla młodzieży polskiej studiujacej w szkołach brytyjskich, korzystać z niego może również młodzież znajdująca się w Armii Polskiej w W. Brytanii.

W nowym roku szkolnym, 1944-45, beda prowadzone dwa kursy: 1/ dla nowozgłoszonych; 2/ dla dotychczasowych uczestników, którzy przerobili już materiał 1-go roku nauczania.

Za rozsyłane lekcje od uczniów stałych nie pobiera się opłat.

Zgłoszenia należy kierować do Ośrodka Nauczania Korespondencyjnego — Polish Centre of Teaching by Correspondence, 61. Hillhead Street, Glasgow, W.2.

Poszukiwani: TADEUSZ i BOLESŁAW OGRODNIK ze Lwowa /synowie Zygmunta i Józefy/, TADEUSZ RYBNICKI ur. w r. 1924 w Krzemieńcu syn Marii i Kazimierza/, Major STANISŁAW GĘBAROWICZ z 40 p.p. ze Lwowa. Wiadomości uprasza się kierować do redakcji "Polski Walczącej".

POLITECHNIKA

Rada Akademickich Szkół Technicznych zawiadamia, że przyjmuje zapisy na akademickie studia techniczne wszystkich lat i wydziałów.

—Kandydaci winni składać podania o przyjęcie na studia do dn. 1-go września b.r. na adres:

Rada Akademickich Szkół Technicznych, City & Guilds College, Room 230, Exhibition Road, London, S.W.7.

W podaniu o przyjęcie na studia techniczne należy podać życiorys, wykształcenie, ewent. odpisy dokumentów stwierdzających odbyte studia oraz wydział na jaki kandydat chce być wpisany.

Osoby wojskowe winny wnieść drogą służbową podanie o odkomenderowanie na studia techniczne pod opieką Rady A.S.T. Dla osób cywilnych obowiązuje zezwolenie na studia z Ministry of Labour.

Przyjęci na studia otrzymują stypendium.

Kandydaci, którzy złożyli podanie do Rady A.S.T. po 1 marca 1944 r. nie potrzebują podań ponownych do Rady nadsyłać.

Przewodniczący
Rady Akademickich Szkół Technicznych
—Prof. S. Płużański

WYDAJE BIURO OPIEKI NAD ŻOŁNIERZEM MIN. OBR. NAROD.

Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.

Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej.

Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2 Registered at the G.P.O. as a newspaper.